Nr. 16. Lwów, Niedziela dnia 17. Grudnia 1876 r. Tom IV.



ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: roczuie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XVI.

O pielęgnowaniu sztuk pięknych w Galicji.

W właściwej rubryce podajemy treściwe sprawozdanie z przebiegu ogólnego zgromadzenia lwow. Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, które odbyło się w przeszłą niedzielę w sali ratuszowej we Lwowie.

To zgromadzenie nasuwa nam jednak pod pióro parę ogólnych uwag o stosunku publiczności naszej do Sztuk pięknych.

W przemowie wstępnej, którą prezes tego Towarzystwa, Leszek hr. Borkowski posiedzenie zagaił, słusznie on zauważył, jak głębokie historjozoficzne znaczenie ma dla Polski dzisiejszy rozkwit malarstwa naszego. To nie jest objaw przypadkowy: to genjusz narodu, wyparty przemocą wrogów z innych dziedzin cywilizacyjnej pracy, wzlatuje na wyżyny twórczości artystycznej, gdzie słowo mocarzy tego świata jest niczem; arcydzieła malarzy naszych na przekor Bismarkom i Gorczakowom głoszą światu pismem, nad którem nie ma mocy żadna cenzura, w obec którego wszelka przebiegłość dyplomacji jest marnością znikomą, że duch Polski żyje, wzniosły i silny, że — jak się wyraził hr. Borkowski „w sercach Polaków nie wygasły wulkany!"

W dzisiejszem położeniu narodu naszego ma więc rozkwit sztuki dla nas znaczenie podwójne: po pierwsze, staje się przez to zadość godności Polski, jako części składowej rodziny narodów, które kroczą na czele cywilizacyjnego postępu ludzkości. a powtóre, świetność sztuki polskiej daje świadectwo o niezwyciężonej narodu naszego potędze duchowej.

Wypadałoby przeto przypuszczać, że ogół publiczności naszej, co najmniej zaś warstwy oświeceńsze, zrozumieją i ocenią to należycie, jak ważnym to dziś dla nas obowiązkiem, wspierać wszelkiemi siłami rozwój sztuki.

Czy tak jest jednak?

Oto nasze Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych zaledwie tylko wegetuje. Gdy dawniej liczba rozprzedawanych akcyj przekraczała zawsze cyfrę 900, to w ostatnim roku administracyjnym zeszła ona po niżej tej ilości (na 864 sztuk). Policzywszy koszta administracyjne, to ileż zostanie po rozprzedaniu powyżej wymienionej liczby akcyj pięcioguldenowych na premię doroczną dla członków, na zakupno obrazów i rzeźb do losowania, i na inne wydatki, jakich wymagałyby cele Towarzystwa? Oto np. uchwalono na przeszłorocznem walnem zgromadzeniu, ażeby lwowskie Tow. przyjaciół sztuk pięknych przyczyniło się do złożenia sumy potrzebnej na zakupno obrazu Matejki „Unja lubelska" kwotą 300 zł. Tymczasem przez cały rok mogło się ściągnąć z wielkim trudem na tyle, iż zapłaciło tylko 100 zł. a resztę dopiero teraz uiści! A cóż dopiero mówić o tem, ażeby Towarzystwo użyczać mogło poparcia początkującym talentom, ażeby mogło dopomagać wyrobionym już artystom, którzy nie utracili jeszcze siły twórczej, lecz wskutek nędzy materjalnej marnieją w zapomnieniu, bez pożytku dla sztuki, bez pożytku dla narodu... Nie potrzeba daleko szukać takich artystów w Polsce, mamy takich i we Lwowie.

Mogą być po części słuszne utyskiwania na nieruchliwość biura lwowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. Lecz tego nikt nie zaprzeczy, że ostatecznie wszystko mogłoby pójść lepiej, gdyby publiczność gorliwiej popierała cele, którym istnienie tej instytucji jest poświęcone, czyli — mówiąc praktycznym językiem, gdyby rozchodziło się więcej akcyj Towarzystwa. Wtedy urządzane przez nie wystawy budziłyby z pewnością więcej interesu u artystów — chociażby ze względu na kwotę, jaką Towarzystwo odkładać by mogło na zakupno dzieł sztuki do losowania; więc wystawy byłyby bogatsze, ewentualnie możnaby rozlosowywać więcej rzeźb i obrazów, premje mogłyby być kosztowniejsze, i pod każdym względem mogłoby Towarzystwo skuteczniejszą rozwinąć czynność w interesie rozwoju sztuki, niż to dotychczas czynić jest w stanie. Wszakże to różnica znaczna, czy Towarzystwo, które ma być mecenasem sztuki, ma do rozporządzenia 4—5000 zł. lub 10.000 do 20.000 zł.

Czystą niedorzecznością jest to, co można czytać w pewnym organie, który zwykł traktować z góry wszystko, co się tyczy „Galicji" w ogólności, a Lwowa w szczególności, jakoby tutejsze Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych nie miało racji bytu obok krakowskiego. Niechajby ich i sto powstało, to i owszem! Cokolwiek zrobi się dla sztuki — czy to usiłowaniem pojedynczych osób, czy staraniem jakiegokolwiek grona zbiorowego, jest nabytkiem dla narodu, nabytkiem dla cywilizacji. Więc powinniśmy w tem mieć szlachetną ambicję, ażeby wszelkie dążności tego rodzaju znalazły u nas poparcie szczere i gorliwe — mianowicie jak się rzekło powyżej, w dzisiejszem położeniu naszem jest to dla nas Polaków nawet poniekąd potrzebą polityczną.

ŻELIGA.

Powieść

Józefa Ignacego Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Domyśleć by się można reszty wyśmienicie, ale zwyczaj każe dopowiedzieć jak to było. Stało się jak łacno dorozumie każdy. Barcińscy zasiedzieli się nieco w Warszawie, dni spływały szybko, do widzenia było wiele, gospodarz uprzejmy, a nadewszystko lekarze oświadczywszy, że się bez podróży dalszej obejdzie, tak jakoś w mieście mimo to wstrzymywali, że można ich było posądzać o zmowę z kasztelanem. Przez ten czas wiele uprzedzeń znikło, trzymał się Barciński swojego ale coraz słabiej, stała przy postanowieniu panna Agnieszka, ale czekała tylko aby ją kto chciał nawrócić.

W parę tygodni po przybyciu, znowu któregoś rana wszedł wuj z siostrzeńcem w wielkiej paradzie do Barcińskich i odezwał się w te słowa:

— Nie mogę już dłużej ważnej dla

mnie, bo całego mego życia sprawy zwlekać, przychodzę więc z pokorną prośbą do państwa dobrodziejstwa i panny Agnieszki, aby serca mojego ofiarę i rękę przyjąć raczyła. Nie obcesowo to czynię, myślałem nad tem długo, poznałem wysokie jej przymioty i uroczyście błagam was abyście mnie i prośbę moją poparli.

P. Marcinowa, której do śmiechu i do łez równie było łatwo, rozpłakała się, kasztelan po chwili ciągnął dalej:

— Ten zaś młodzieniec, przez usta moje jako najbliższego opiekuna i krewnego, dopasza się pozwolenia zasługiwania i starania o względy miłej panny Justyny. Niech się bliżej poznają, ocenią i przekonają czy szczęśliwymi być mogą.

— Panie kasztelanie dobrodzieju—rzekł Barciński — pozwól mi naprzód za honor rodzinie uczyniony podziękować, ale zara zem być otwartym, jak szlachcicowi przystało. Panie, miałeś w swej własnej rodzinie smutny przykład czem są, prędzej, później nierównych kondycyj małżeństwa.. Wielka to cześć dla nas i niespodziane szczęście, ale zważ też proszę jak niemi upokorzeni będziemy; ty nam przynosisz wszystko, my ci nic dać nie możemy.

— Serca! serca!— zawołał kasztelan — serca wasze złote, najdroższy skarb na ziemi. Mówicie po ludzku i po ziemsku panie stolniku, wedle świata ale nie podług Boga. Cenicież znowu tak bardzo te dary znikome, których zbytni szacunek krzywi pojęcia i tylu jest nieszczęść przyczyną. Bądźcie wyższymi nad to.

— Nie w naszej mocy tak wysoko się podnieść gdy tak nisko żyć musimy — rzekł Barciński. — Panie kasztelanie błagamy cię, odstąp od twojego zamiaru, szukaj bliżej siebie towarzyszki życia sobie i zacnemu siostrzanowi swojemu.

— A pani — spytał z wyrzutem niejakim zwracając się do panny Agnieszki kasztelan, pani za mną i dla mnie nie zechcesz rzecz słowa?

— Panie, cóż mam innego powiedzieć nad to coście słyszeli?

— Chcieliżbyście nieszczęścia mojego? spytał gospodarz smutnie. — Nie! nie! zlitujcie się nademną, bo powiadam wam i przysięgam tu uroczyście, że albo p. Agnieszka będzie żoną moją, lub — żadna.

Wszyscy zamilkli, p. Agnieszka jeszcze z listu kasztelana o jego postanowieniu wiedziała.

— Macie tedy czas do rozmysłu nad losem moim — mówił dalej kasztelan, gdyż żadna moc ziemska ze słowa raz danego rozwiązać mnie nie potrafi. Co się tyczy mego siostrzana, — dodał spoglądając na mocno zarumienioną Justysię, spodziewam się że mu czas dacie i sposobność aby się wam lepiej dał poznać.

To rzekłszy mocno poruszony pocałował w rękę pannę Agnieszkę i wyszedł prędko.

Barciński stał z razu jak słup z rękami założonemi, milczenie trwało długą chwilę, aż p. Marcinowa pierwsza wstała —to była kobieta prędka i serdeczna.

— No, o Justysi nie ma mowy — rzekła — na to jeszcze dużo czasu, ale co do Agnusi, jak Pana Boga kocham, oboje waszmość, choćby i ty Marcinie, słuszności nie macie. O sobie myślicie a nie o poczciwym a nieszczęśliwym człowieku. Kochasz go waćpanna czy nie?

— Ale któżby go nie kochał? — odezwała się p. Agnieszka ze łzami.

— Tak, a siebie jezzcze więcej niż jego — mówiła pani Marcinowa — to ci się nie chce dlań nic uczynić, nic poświęcić, to ci twoja duma droższa niż jego szczęście?

— A dalipan ma rację! — rzekł Barciński — który już się słabiej coraz trzymał, tylko znowu...

— Cóż mi odpowiedzieć możecie? — pytała Marcinowa — więc się go boicie? więc mu nie dowierzacie?

— Ale rodzina! zawołał Barciński,

— Można nie zważać na nią,— odparła Marcinowa — przecież on, co cieniom matki krzywdy uczynić nie dał i żonie swej wyrządzić jej nie dozwoli. Albo go waćpanna kochasz to zań pójdziesz, albo nie... to ja sama iść nie życzę bo dla grosza lub śmiania się sprzedać rzecz nieuczciwa. Masz jak to mówią, wóz i przewóz.

Na ten raz rozmowa się przerwała, wzięto rzeczy do rozmysłu w milczeniu, ale już domyśleć się było łatwo końca.

Panna Agnieszka wahała się jednak długo, nim zgodziła się podzielić życie z człowiekiem, którego szczerze kochała. Cała rodzina kasztelana musiała, pierwsze czyniąc kroki i przekonywując ją że nie miała uprzedzenie, prosić aby przyjęła jedno z najpiękniejszych imion starych, w zamian za swe skromne imię szlacheckie. Tymczasem Barcińscy przekonawszy się, że podróż dla ukochanej córki ich nie była koniecznym przyjścia do zdrowia warunkiem, zabawili tylko dłużej w mieście, a siostrzan kasztelana skorzystał z czasu by się zbliżyć do Justysi.

Poznanie też lepsze tego świata, do którego wnijść miała, odjęło pannie Agnieszce zbytnie o przyszłość obawy.

Nie wydał się on jej rajem, ani idałem, ale wielce podobnym przy zmienionych nieco proporcjach, do mniejszych rozmiarów świata, w którym ona żyła. Przekonała się, że wnosząc z sobą w te sfery poczciwe zasady, niewzruszoną cnotę i męztwo, i w nim wyżyć było można. Raziły ją obyczaje; śmieszyły ceremonje, dziwacznie wydawały się formy, ale oswajała się z niemi, pocieszając tem, że zamknięta w domu żyć może, nie rzucając we wrzawliwy żywot miejski, do którego kasztelan ani ona pociągnioną się nie czuła.

Wszyscy powoli oswoili się nieco ze stolicą; jeden p. Marcin był w niej zawsze obcym i stęsknionym za wsią swoją. Chodził wprawdzie po miejskim bruku, ale duszą i myślą ciągle był w Barcinie, a nieustannie go sobie przypominał. Padał li deszcz, pan Marcin obrachowywał zaraz czy on pomocnym być mógł gospodarstwu czy szkodliwym; każda data i święto przywodziły mu na pamięć zajęcia wiejskie.

— Ciekawym też — odzywał się do żony — czy już len posiali? czy też owieczki postrzyżone?... A jak tam żyto kwitnie?... otóż deszcz na sam kwiat; gotowi się przypóźnić z sianokosem itp.

Listy odbierane z domu zawsze go na jakie parę dni niepokoiły, chodził i stękał, jak tam sobie dadzą radę bez niego, i bez czujnego gderania.

Przypomniało się też stado ilekroć lepsze konie zobaczył; żal mu nawet było że kilka z sobą młodzieży nie przyprowadził do Warszawy, aby się też popisać. Gdy już wesele panny Agnieszki z kasztelanem postanowione zostało, a ślubne zaprzęgi miano sztyftować, Barcińskiemu przyszła myśl ofiarowania czterech siwoszów kasztelanowi; napisał zaraz w sekrecie do domu, aby mu je wnet przyprowadzono nie męcząc, wiodąc w rękach, rankami i wieczorami, unikając upału. Czwórka, którą wyznaczył sam, była w istocie znakomicie dobrana i bardzo piękna, choć konie nie zbyt rosłe. Niepokojąc się oczekiwał na nią stolnik, a gdy nareszcie znać mu dano że nadeszła, gdy ją kazał odprowadzić do stajen pańskich, pokrywszy czerwonemi kapami, chodził tak niespokojny znowu o wrażenie, jakie szkapy jego uczynią w Warszawie, jakby nie o reputację stada, ale o jego własną chodziło. Szczęściem konie w istocie bardzo piękne, powszechny aplauz zyskały, podobały się wszystkim, kasztelan przyjął je z wdzięcznością, stolica przez dni kilka o nich tylko mówiła, w gazecie nawet wzmiankowano o Barcińskich stadzie, a numer ten stolnik sobie zachował, włożywszy go w książkę od nabożeństwa.

Po zwłokach różnych, panna Agnieszka nareszcie oddała rękę przyjacielowi, którego pokochała ubogim; ale ślub odbył się po cichu na wsi, a zaproszono nań tylko kilka osób z rodziny i przyjaciół. Państwo młodzi zaraz potem do dóbr swych, na Ruś wyjechali, a Barcińscy do domu. Justysia też cudownie ozdrowiała, przed wyjazdem oświadczył się o nią formalnie siostrzeniec kasztelana i został przyjęty. Marcinostwo choć ślub odwleczono na pół roku, spieszyli do domu, aby godnie nowej kolligacji wystąpić. A tyle było do zrobienia! Dom, służba, przybory, wszystko dla znakomitych gości potrzeba było wyporządzić na nowo, stroić, ładzić, zaprowadzać. Pani Marcinowa odżyła przy tej pracy, ale Barciński trochę leniwy skwaśniał i postarzał, bo się do zbytku kłopotał o swą szlachecką sławę, pamiętając na stare przysłowie: zastaw się a postaw się.

Ale to było dla jedynaczki... drugiego też wesela już nikomu sprawiać nie mieli.

A gdy młodzi potem wyjechali z Barcina, przy huku moździerzy pożyczonych od księdza proboszcza z kościoła (strzelano z nich na rezurekcję tylko), opustoszało po nich i bardzo posmutniało. Marcinowa siadła w oknie płacząc, i długo łez otulić nie mogła. Agnieszka i Justysia pisywały często; obie też odwidzały Barcin gdy mogły... a wówczas przynosiły z sobą radość wielką. P. Marcin pogodził się nawet z Boguszem, aby mieć kogo w słotny czas do marjasza, i Achingera odwidzał, choć u niego w domu zaszła nadzwyczajna zmiana, na którą koso spoglądano.

Achinger bowiem ożenił się, a co najgorzej, ożenił się z prostą chłopką. Napróżno zjeździwszy dwory do koła, odepchnięty wprawdzie wszędzie gdzieby był życzył się zbliżyć, kuternoga wybrał sobie z własnej wsi

ładną i młodą dzieweczkę i mimo ogromnego larum, które podniosła familja, podziwu, śmiechu, urągań, poprowadził ją do ołtarza. Przebrana z sukmanki w do zbytku może wykwintne sukienki, młoda pani Achingerowa, bardzo piękna z twarzy, co jej wielce pomagało do przejednania niechętnych, niegorzej wyglądała w pokoju bawialnym na kanapie, od pań innych które nosem na nią kręciły. Czuć było w niej pomięszanie, zakłopotanie, zbyt często rumieniła się może, czasem jej słowa dobornego zabrakło, niekiedy biegła spłoszona kryć się do bokówki, ale jednak rady sobie dawała niezgorzej, a Achinger kochał ją niezmiernie i przysiągł się że był najszczęśliwszy z ludzi. Tylko z sąsiadami ciężka była sprawa. Pani Achingerowej nie chciano z razu nigdzie przyjmować, w kościele choć w drugiej siedziała ławce i tam często albo miejsca brakło, albo nikt przy niej siąść już nie chciał. Achinger dużo miał jak powiadał szczęścia, ale i zgryzoty nie mało z tego heroicznego małżeństwa.

Postarzał też prędko, posiwiał i piękna Rózia zupełnie nim owładła, opowiadano dziwne rzeczy, ale też wszystkiemu wierzyć się nie godzi.

Pożycie kasztelana z żoną było szczęśliwe ale krótkie: osierociwszy dwoje dziatek, poszła kasztelanowa po nagrodę na świat lepszy za doznane strapienia i przerwane szczęście. Z historji Żeligi potworzyły się bajki dziwne, a Panie Kochanku, kuzyn kasztelana, opowiadał potem o samym sobie, jak służył za kuchcika u pana Gałeckiego...

Wszystkich tych powieści początkiem był ów pobyt kilkoletni pokutnika w Barcinie, z którego się opisane przez nas nawiązały wypadki. Na starość p. Marcin miał zwyczaj, złapawszy gościa tysiące szczegółów o Zelidze opowiadać, i trafiało się, że nieraz dni kilka miał o czem mówić, coraz sobie coś nowego przypominając. Wiedzieli już wszyscy jadąc do Barcina, co tam ich spotka, stolnik bowiem nabrał takiego nałogu do prawienia dykteryjek o kasztelanie, iż nie było przedmiotu, z którego by asumptu nie znalazł do swoich powieści.

Powtarzali je potem, dodając potroszę swego ludzie, a co się z tego za historje potworzyły, domyśli się każdy, kto kiedy śledził jak to się powoli wspólnemi siły urabia podanie, stroi, przykrawa do ducha i myśli czasu, aż w postaci nowej z prawdy rzeczy i z prawdy ducha, prawdą później wyrośnie. (C. d. n.)

Koniec części pierwszej.

O pracy umysłowej.

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

(Ciąg dalszy).

Uważaliśmy dotychczas pracę umysłową w jej największem odosobnieniu od pracy mechanicznej; pospolicie jednak nie bywa ona tak odosobnioną, ani to nie leży w interesie nauki i sztuki, ażeby myśliciel, rachmistrz, wynalazca lub poeta, wysilał swój umysł na pracę oderwaną od wrażeń, ażeby koniecznie w pamięci układał cały poemat, w pamięci kreślił cały model wynalazku, w pamięci rozwiązywał najtrudniejsze zadania, lub dyktował pięć listów na raz, albo grał 3 partje szachów z zamkniętemi oczyma. Biegłość tego rodzaju będzie zawsze tylko rodzajem gimnastyki umysłowej, sztuką łamaną, nieszkodliwą, jeśli nam łatwo przychodzi, ale niedorzeczną, jeśli dla jej produkowania poświęcamy czas i zdolności. Że kto uważa za właściwe chodzić po linie z workiem na głowie, i przez to budzi w jednych podziwienie, w drugich litość, — to nie znaczy jeszcze, ażeby chodzenie po zwykłej drodze i z otwartemi oczyma było mniej pożytecznym lub godnem człowieka.

Jeśli mówimy o kim, że pracuje umysłowo, to nie rozumiemy przez to, że całemi godzinami, zamknąwszy zmysły na wrażenia, leży nieruchomie i wysila się na oderwane myślenie lub komponowanie w pamięci — chcemy tylko powiedzieć, że człowiek ten pracuje więcej umysłem, niż ciałem, że studjuje pewną naukę, czyta, słucha wykładów, robi doświadczenia, tłumaczy, sam wykłada lub pisze — jednem słowem, pracę jego umysłu uważamy zawsze w łączności z pewną pracą zmysłów i muskułów.

Tak pojęta praca umysłowa ma niezmiernie rozległe zastosowanie, i usunięcie jej zniweczyłoby na raz całą, prawdziwie ludzką działalność, wszystkie owoce postępu, wszystkie instytucje, wyróżniające pracę ludzką od pracy zwierzęcej.

Cały ten obszar pracy umysłowej możemy podzielić na trzy wielkie działy: na pracę przyswajania wiadomości, na pracę reprodukcji, i po trzecie, na pracę twórczą. Do pierwszego działu należeć będzie: słuchanie, czytanie, uczenie się w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu. Do drugiego: wszelkie rodzaje pracy, polegające na odtwarzaniu nabytych wiadomości, jak: tłumaczenie, opowiadanie, uczenie drugich, deklamacja, wreszcie gra sceniczna, stanowiąca przejście do pracy twórczej, czyli produkcyjnej. Krasomówstwo należyć już będzie do właściwej pracy twórczej, stanowiącej trzecią grupę samodzielnej czynności umysłu w naukach, sztukach i przemyśle.

Praca przyswajania, praca reprodukcji i praca twórcza, obejmują w sobie cały obszar pracy umysłowej ludzkości — a tem samem przedstawiać muszą tysiączne przejścia od jednego rodzaju działalności do drugiego.

Pierwsza grupa i trzecia, jako więcej wybitne, przedstawiają więcej interesu i dlatego też na nich zatrzymamy naszę uwagę.

Co się dzieje w umyśle człowieka, który słuchając ustnego wykładu, rozumie go? Do ucha jego dochodzą dźwięki wyrazów — nic więcej; proces fizyczny polega tylko na ciągłem przesyłaniu drgań powietrza, stanowiących dźwięk mowy, z ust mówiącego w ucho czytelnika. Jednakże dla słuchającego, proces słuchania nie jest prostem ujmowaniem dźwięków. Czytelnik nietylko słyszy mowę, ale i rozumie? Na czem polega to rozumienie? Zamiast odpowiedzieć wprost, zrobię jeszcze jedno pytanie: Czy czytelnik rozumiałby myśl prelegenta, gdyby ten wykładał w obcym dla niego języku? — Zapewne że nie, — choćby nawet każdy wyraz słyszał najdokładniej. Wyrazy bowiem słyszane pozostałyby dla niego samym dźwiękiem, — nie budziłyby w jego umyśle żadnych obrazów, żadnych pojęć.

Gdy wymawiam wyraz „kościół“, to w umyśle czytelników dźwięk ten budzi wyobrażenie gmachu kościelnego, albo też pojęcie kościoła, jako pewnej korporacji religijnej — i dlatego też gdy powiem:

„Kościół św. Szczepana w Wiedniu należy do najpiękniejszych zabytków sztuki gotyckiej“ — albo też:

„Od wielu lat kościół i państwo toczą z sobą walkę“, — to każdy z wymienionych w tej chwili wyrazów obudził w umyśle czytelnika przywiązane do niego wyobrażenie lub pojęcie, i myśli przezemnie wypowiedziane były dla każdego zrozumiałemi.

A zatem proces rozumienia rzeczy słyszanej polega na tem, że dźwięki wyrazów obudzają i uprzytomniają w myśli słuchającym, przywiązane do nich wyobrażenia i pojęcia. Ile razy dźwięki wyrazów nie obudzą w umyśle czytelnika odpowiednich im wyobrażeń i pojęć, tyle razy mowa pozostaje niezrozumiałą.

Pochlebiam sobie, że w tej chwili doświadczenie to nie mało miejsca. Przy czytaniu książki proces umysłowy jest zupełnie ten sam, różnica zachodzi tylko w tem, że tu nie dźwięki mowy, ale postać i układ liter obudzają i uprzytomniają w umyśle szeregi odpowiednich wyobrażeń i pojęć.

Ale, mógłby ktoś zarzucić, jakimże sposobem słuchanie lub czytanie mogłoby być środkiem nabywania wiadomości, jeśli dla zrozumienia rzeczy słuchanej lub czytanej, potrzeba już mieć w duszy wszystkie przywiązane do wyrazów wyobrażenia i pojęcia?

Odpowiedź na to bardzo prosta.

Czytanie lub słuchanie wtedy tylko mogą być środkiem nabywania wiadomości, kiedy słuchacz lub czytelnik jest do ich przyjęcia przygotowanym: kiedy wyobrażenia, któremi się posiłkuje mowca lub autor dla wyrażenia swych myśli, nie są mu obce. To nie ulega wątpliwości. Autor może tylko tworzyć w umyśle czytelnika nowe zestawienia wyobrażeń, obudzać w nim nowe myśli, objaśniać przez zestawienie wyobrażeń i pojęć znanych — nieznane wyobrażenia i pojęcia; ale nowych wyobrażeń zasadniczych, szczegółowych, w nim nie tworzy. Dlatego też ani prelekcja, ani książka, nie mogą być pierwszą szkołą wiadomości. Pierwszej i niezbędnej nauki uczy nas sama natura, uczy mimowolna nawet obserwacja przedmiotów otaczających, doświadczenie własne, bez którego żadna książka, żadna mowa rozumu w dziecku nie otworzy.

Nie mniej jednak słowo żywe i słowo martwe pozostaną zawsze potężnemi środkami krzewienia oświaty i postępu nauk. Prelekcja lub książka spełnią zawsze swą misją, — jeśli tylko autor umiał je opracować w ten sposób, ażeby wyobrażenia i pojęcia szczegółowe, wchodzące w skład jego myśli, nie były obce tej sferze czytelników, dla których książkę przeznacza. W przeciwnym razie cel będzie zawsze chybiony.

Przyswojenie wiadomości zapomocą czytania lub słuchania, jeśli ma być umiejętnem, wymaga natężenia uwagi. Natężenie takie przez dłuższy czas trwające, męczy — dlaczego męczy? — Zobaczymy to następnie — tem bardziej, że wkrótce każdy z czanownych czytelników będzie miał sposobność, zrobić spostrzeżenie na sobie samym.

Dziecko uczące się w szkole, pracuje słuchając i czytając. Przy dzisiejszym układzie lekcyj, sześć godzin natężonej uwagi byłyby zbyt uciążliwem wysileniem, gdyby wszystkie godziny z kolei schodziły na samej nauce. Wiadomo, że tak nie jest.

*

Z pomiędzy uczących w danej szkole, zwykle tylko dwóch lub trzech jest w stanie przez całą godzinę zatrzymać i kontrolować uwagę dziecka, już to umiejętnością wykładu, już też powagą i surowością nadzoru — inni, pozwalają dzieciom na bezustanny gwar i ruch mniej lub więcej widoczny; nie umieją ani powabem nauki, ani siłą taktu utrzymać owej kościelnej ciszy, będącej w szkołach publicznych nieodzownym warunkiem nauki. Tym sposobem natężenie myśli i uwagi obok bezczynności fizycznej, nie jest ciągłem, a tem samem nie tyle męczy młode umysły. Czy jednak nie byłoby korzystniej zajmować mniej godzin, ale zajmować sumiennie — to inna kwestja.

Umysł dziecka w szkole jest jakby workiem, w który każdy z nauczycieli kolejno usiłuje napakować jak najwięcej wiadomości — jaki zaś jest stosunek tego czego uczono, do tego czego nauczono — wiemy wszyscy. Nauka sypie się w ów worek jak z rogu obfitości, ale cóż z tego, kiedy najwięcej obsypuje się po bokach. — Tysiące faktów odbiją się o uszy, ale nie mogą uwięznąć w mózgu, raz dlatego właśnie, że ich jest tysiące — drugi raz dlatego, że dziecko wstępujące do szkoły nie umie patrzeć, nie umie słuchać, nie umie myśleć. Nie kształcono jego uwagi na drobnych otaczających przedmiotach, nie rozwijano myśli objaśnianiem najpospolitszych zjawisk, — przeciwnie, — zarzucając je bezmyślnie zabawkami, prowadzono przedwcześnie po kościołach i teatrach, uczono ujmować naraz wiele rzeczy, nie dając mu zrozumieć żadnej — uczono powierzchownego sądu, roztargnienia i lekkomyślności — uczono na pamięć rzeczy, których dziecko nie było wstanie zrozumieć, wyrabiając w jego umyśle przekonanie, że nauka jest właśnie pamiętaniem tego, czego się nie rozumie.

Wytępiano wrodzoną dziecku ciekawość do nauki, pozostawiając bez odpowiedzi bezustanne zapytania, dotyczące zjawisk codziennych, na które nie umiano lub nie chciano odpowiadać. Jednem słowem, nie zrobiono nic, coby przygotowało grunt do przyjęcia ziarna — cóż się stanie, jeśli i to ziarno, które nań rzucą, nie będzie tak zdrowem, jakby tego pragnąć należało?

Zanadtośmy przywykli do uważania pracy za karę bożą — i zanadto szafujemy karą, gdy chodzi o pracę. Czyż nie widziano dzieci z płaczem biorących za książkę, z płaczem pędzonych do szkoły? Czyż nie widziano pedagogów, wyrywających garściami włosy z głowy ucznia, ażeby mu ją pojętniejszą uczynić? targających go za uszy dla nadania mu więcej przenikliwości? odbierających mu wstyd dla wzmocnienia w nim ochoty do pracy?

Wszystko to ma być tylko uprawą gruntu;— ale jakież daje ziarno? — Dwanaście godzin greckiego i sześć łaciny tygodniowo! Zaprawdę, jest to środek wystarczający do systematycznego przytępiania umysłu, który nieraz całą siłą wrodzonych zdolności rwie się do światła wiedzy, usiłuje przeniknąć tajemnicę otaczających go zjawisk — aż zostawiony sam sobie, z podciętemi skrzydłami wyobraźni, z przeładowaną pamięcią, przytępionym rozumem i z patentem dojrzałości w kieszeni, zostaje wyrzucony z gwaru szkoły w wir życia.

Tak było i tak będzie, dopóki znajomość natury ludzkiej nie oświeci nas, póki nie nauczymy się działać według jej przepisów i wskazówek. Reformę zacznijmy od siebie. Ani pedagogje pisane dla ojców, ani hygjeny dla matek, ani podręczniki dla nauczycieli, na nic się nie zdadzą, jeśli ten ojciec, ta matka, ten nauczyciel, sami od wieku młodzieńczego nie uczyli się obserwować siebie, obserwować dzieci — doświadczeniem własnem zdobywać te prawidła i przepisy, które mają wprowadzić w wykonanie.

Chcąc ulepszyć wychowanie — potrzeba powiększyć liczbę prawdziwych ojców, prawdziwych matek, prawdziwych nauczycieli.

Do nas więc, którzy nie jesteśmy ani jednem ani drugiem, należy zacząć reformę — ale zacząć od siebie. To co jest, nie da się przerobić — ale to co będzie, będzie lepszem, jeśli my będziemy lepsi.

Praca umysłowa uczącego się — budzi w nim początkowo znaczne trudności. Rachunek różniczkowy przychodzi nam daleko łatwiej, aniżeli tabliczka mnożenia. Pierwszy przykład dodawania, ileż to nas namęczył i nadręczył! Ale potem idzie gładziej — i z owych tępych głów szkolnych wyrastają nieraz nielada zdolności. Widzieliśmy podobny przykład na Dosem. Każde zamiłowanie jest owocem pracy, każda praca swobodna obudza zamiłowanie. Zamiłowanie to bywa niekiedy tak silne, że przechodzi w nałóg, a nawet w pewien rodzaj namiętności. Ludzie tacy całe życie spędzają nad książką, uczą się, jak Mezzofanti, 59-ciu języków dlatego tylko, ażeby umieć się rozmówić z pierwszym lepszym Hotentotem — albo nawet i o tę korzyść nie dbają, poprzestając na samem wewnętrznem zadowoleniu. Przykład tego rodzaju przytacza Dr. Deseuret w swej „Medycynie namiętności".

Węgier Mentelli, filozof, filolog i matematyk poświęcił całe swoje życie pracy umysłowej nabywania wiadomości. Innych potrzeb i upodobań zdawał się nie mieć wcale. Żył w najustronniejszym zakątku Paryża, wyznaczonym mu z litości, usunąwszy wszelkie wygody, nie będące niezbędnemi do życia. Życie tego rodzaju kosztowało go 7 sous dziennie, z tych 3 szło na pokarm, a 4 na oświetlenie. Pracował bowiem 20 godzin dziennie — przerywając czytanie raz w tygodniu, dlatego tylko, ażeby dać lekcję matematyki, której zapłata wystarczała mu na kupno ziemniaków, które gotował nad lampą czytając, i oleju dla napełniania lampy. — Było to wszystko czego potrzebował. Sypiał w starej pace drewnianej, w którą podczas pracy wkładał nogi, okrywając je słomą. Gdy w 1814 r. kule sprzymierzonych mocarstw padały w stronę jego mieszkania i gdy uciekający radzili mu ujść wraz z nimi, odpowiadał: „Co mie się mięszać do tego, że ktoś tam strzela — niech sobie strzela i dajcie mi święty pokój". Raz jeden tylko przerwał swe badania, gdy podczas grasującej tam cholery, siłą zmuszono go do zezwolenia na oczyszczenie mieszkania. Tak żył lat 30] zdrów, spokojny i szczęśliwy. 22 Grudnia 1836 r. gdy miał już lat 60, wyszedłszy po wodę na stromy brzeg Sekwanny, pośliznął się i utonął. — Mentelli nie zostawił żadnego dzieła, żadnego śladu swych badań trzydziestoletnich. (C. d. n.)

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

Józef Tretiak.

(Ciąg dalszy).

Pierwszy rozbiór kraju zastał poetę wśród tego swobodnego, ale i próżniaczego życia. Odczuwał on wraz z innymi ten cios straszliwy, a upokorzenia spotykające na każdym kroku wolny dotąd naród, boleśnie go poruszały. Jakże smutnie, jak nikłe wyglądały jego Filony, Koryle i Lindory wobec tragedji, jaka się wówczas na polu dziejowem odgrywała. Czuł to sam poeta i smutne wrażenia swoje z owych chwil uwiecznił nie w żalach jakichś skrojonych na wzór pseudoklasyczny, ale w tak zwanej „Pieśni dziada sokalskiego," napisanej na wzór i pod nutę jednej z żałośnych pieśni dziadowskich.

Stosunek z Ponińską trwał ciągle, ale poeta zaczął stygnąć powoli w swojem pragnieniu połączenia się z nią małżeńskim węzłem. Skarży się on, że pani bywała często w sprzecznym humorze i zaufana w swoim rozumie lubiła ustawicznie dysputować. Jednem słowem psuć się zaczęła harmonja między nimi, ale pani była szlachetną i zważając na to, że poeta tak długo żyjąc przy niej*), jeżeli nie dla niej, to przynajmniej z jej powodu nie zabrał się do ustalenia swego losu, ofiarowała mu w dzień imienin jego 5.000 złr.

Za te pieniądze wziął Karpiński w dzierżawę od Bielskiego łowczego wieś Wierzbowice i od tej chwili rozpoczyna się w życiu jego nowy, kilkoletni perjod pracy nad rolą. Oprócz Wierzbowic dzierżawił w tym perjodzie (do 1780) wieś Dobrowody także od Bielskiego i Zabokruki od Koziebrodzkiego. I jeden i drugi był dobrym znajomym Karpińskiego i pewno mu puszczali wsie swoje na jak najdogodniejszych warunkach, to też przez te kilka lat zarobił sobie do 1.000 dukatów. Sąsiedzi z początku żartobliwie spoglądali na poetę gospodarującego, jak mówili, z książki, bo go widziano czytającego książkę w polu przy kosarzach, ale Karpiński przekonał ich wkrótce, że książka nie przeszkadza gospodarstwu, gdy jego zbiory były lepsze i popłatniejsze od ich zbiorów. Sąsiedzi zresztą byli to wszystko ludzie uczciwi i Karpiński żył z nimi w najlepszej zgodzie. Jeden z nich zasługuje na szczegółową wzmiankę, bo był serdecznym przyjacielem poety i przedstawia ciekawy, a może zaginiony typ szlacheckiego stoika. Był nim stolnik Piasecki. Z uczciwości i religijności przypomina on Franciszkowego ojca, tylko jak w tamtym wybitną cechą była wiara w nadprzyrodzone zjawiska, tak w tym zdawanie się we wszystkiem na wolę bożą. Największe klęski i nieszczęścia, gradobicia, pomór bydła, nawet śmierć dziecka nie zmieniała pogodnej jego twarzy; przyjmował to wszystko z największą rezygnacją, mówiąc: „Bóg tak chciał." Uczciwość jego tak zachwyciła pewnego półkownika rossyjskiego, który idąc na wojnę, powierzył mu 3.000 dukatów do przechowania, że po trzech leciech otrzymawszy napowrót w całości ową sumę, chciał się nią podzielić z Piaseckim, ale szlachcic choć miał nie więcej nad 25.000 złotych majątku, nie przyjął ofiarowanej sobie sumy, mówiąc, że cnoty swojej nie sprzedaje. Częste obcowanie z tym człowiekiem musiało korzystnie wpływać na ugruntowanie w Karpińskim tych zasad, tak mało popłatnych wówczas, które ojciec jeszcze wpajał we Franciszka.

Trzymając od Koziebrodzkiego wioskę Żabokruki, podobał się Karpiński córce dziedzica, panne Franciszce, mającej sto kilkadziesiąt tysięcy posagu i zaręczonej za młodego i bogatego

*) „Więcej lat 10 trzymała mnie w szczęśliwych więzach" Pam. 53.

Puzynę. Panna nie kochała narzeczonego, Karpiński zaś był jej wzajemnym, dała mu więc do poznania, aby ją wykradł, a wyjednają potem przebaczenie rodziców. Karpiński nie zrozumiał tak ponętnej propozycji tylko dla tego, że nie chciał zawieść zaufania ojca panny, który go prawie ojcowskiem otaczał przywiązaniem, po przyjacielsku wioskę wypuścił w dzierżawę i nie rozciągał najmniejszej kontroli nad częstem jego obcowaniem z córką. Otwarcie jako współzawodnik Puzyny nie mógł poeta wystąpić, bo był ubogim, a pieniądz w owych czasach nie mniej ceniono jak dzisiaj.

U innego ze swoich sąsiadów, podczaszego Witosławskiego, poznał się pewnego razu Karpiński z jego bratem, obożnym koronnym, który przyjeżdżał z Warszawy i dużo mu opowiadał o ruchu umysłowym w stolicy, o królu, a najwięcej o domu księcia generała podolskiego i o tem, jak ten pan lubi i wspiera nauki i uczonych. Zaczęła nęcić Karpińskiego Warszawa tem bardziej, że sprzykrzyło mu się życie pod rządami niemieckiemi, które nowych poddanych ciągłemi trapiły upokorzeniami*).

Mógł tem lepszą mieć otuchę, że właśnie książe zdawał się szczególnie sprzyjać rodzajowi poezji przez niego uprawianej. Na rok bowiem przedtem wydany został w Warszawie staraniem księcia, dość okazale jak na owe czasy, bo z kopersztychami robionemi w Paryżu, zbiór sielanek polskich, do którego wchodziły utwory sielankowe Szymonowicza, Zimorowicza, Gawińskiego, Minasowicza, Naruszewicza i tłumaczenia księdza Nagurczewskiego**). Postanowił zatem zalecić się księciu Czartoryskiemu, o którym tyle dobrego słyszał, i w tym celu zebrawszy wszystkie swoje sielanki i inne utwory, wydał je w jednym tomiku we Lwowie i zadedykował księciu generałowi. Zbiorek ten miał tytuł: „Zabawki wierszem i przykłady obyczajne“ i jest pierwszą edycją poezji Karpińskiego. Ostatni w niej wiersz ofiarowany był księdzu Naruszewiczowi, którego miano wówczas za najwyżej stojącego na Parnasie polskim. W wierszowanej i bardzo gładkiej dedykacji wypowiada to poeta, i składa hołd mistrzowi, którego się uczniem mieni, jakkolwiek przyznaje się w Pamiętnikach***), że chodziło mu o pozyskanie przyjaźni biskupa, ażeby przez niego mieć wstęp do króla, którego ulubieńcem był Naruszewicz. Poezje te zabrał obożny Witosławski i zawiózł księciu generałowi, a wkrótce potem otrzymał Karpiński od księcia i Naruszewicza najgrzeczniejsze listy z podziękowaniem.

Nie długo potem książe generał przyjechał w prywatnych sprawach do Galicji i zajechał na parę dni w odwidziny do Witosławskich, sąsiadów Karpińskiego. Z księciem przyjechał młody Juljan Niemcewicz; tego natychmiast wyprawiono do Karpińskiego z zaprosinami na objad jutrzejszy. Karpiński mieszkał wówczas w Dobrowodach. „Była już godzina 10ta wieczorem, pisze Niemcewicz w swoich pamiętnikach, gdym zajechał przed biało tynkowany dworek. Wszedłszy z sieni do izby, zastałem wieszczka siedzącego na krześle i moczącego nogi. Twarz jego smagła, włosy czarne, oczy czarne i żywe, przyjemny uśmiech, mowa łagodna.“ *) Dla Karpińskiego, który nic nie wiedział o przyjeździe księcia do Witosławskich, były te odwidziny i zaprosiny nadzwyczaj miłą niespodzianką. Celem jego marzeń od niejakiego czasu było poznać się z księciem i przy jego pomocy oddać się swobodnie pracy umysłowej, zbliżyć się ze światem literackim i zajaśnieć w tym świecie. Teraz miał sposobność poznać księcia i skory do rojeń, musiał wnet najpiękniejsze sobie budować zamki na lodzie. Nazajutrz palony niecierpliwością nie wytrzymał do pory objadowej i wcześnie pojechał do sąsiada. (C. d. n.)

*) Pam. str. 137.

**) Sielanki polskie z różnych autorów zebrane. W Warszawie 1778 u Grölla.

***) Pam. str. 138.

*) Pamiętniki czasów moich Paryż 1848 str. 81. Korniłowicz (O życiu Fr. Karp. str. 58) nieco inaczej maluje twarz poety: „Wzrostu był miernego, szczupłego ciała, czoło miał wzniosłe, oczy błękitne, twarz pociągławą, nos nieco zaklęsły, głowę w sędziwej starości jednak nie łysą.“ Należy pamiętać, że Korniłowicz pisał swoją rzecz o Karp. zaraz po jego śmierci, a Niemcewicz w wiele lat po widzeniu się z poetą i że przytem sam nie dowierzał własnej pamięci.

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

Jana Kubarego.

(Ciąg dalszy.)

Dnia 24 Marca 1875 r.

Szerokość 55° 56′ Połud. Długość 76° 54′ Zachodnia. 300 mil od Przylądka Horne.

Przed miesiącem opuściłem brzegi Australji, Sydeu i dzisiaj oddziela nas 6.000 mil wiecznie wzburzonego Oceanu. Trzysta mil przed nami sterczą najpołudniowsze krawędzie Ameryki, Terra del Fuego. (Ziemia ognista.) Jeszcze kilka dni i wpłyniemy na wąskie wody Atlantyku. Atlantyku!... który obecnie wydaje mi się być tylko skromnym stawem, miernej wielkości jeziorem, wodą, na której zaczynam się poznawać nie obcym, która niejako obmywa progi mego własnego gniazda.

Ha więc to prawda, więc to już po za mną spokojne lasy Polinezji, a przedemną ukazują się już bruki i kurz uliczny i wszystkie niedogodności cywilizacji. O mativa, mativa au!

Jeszcze ośm tygodni oddziela nas od brzegów Albionu, siedziby najnieznośniejszej z ludzkich ras. Czas dla nas jest wiatrem i prędzej niż myślicie, załzawią mi oczy dymy londyńskich kominów; ah... gdyby to tylko dym wyciskał łzę z oka. Czas mi pono zmienić okulary, czas by szczęśliwy Oceańczyk zamarł we mnie, bym tutaj chociaż na zziębionych, ale zawsze jeszcze falach Pacifiku napisał mój testament.

Ach żal mi, żal, opuszczać moich dzikich przyjaciół, moje urocze wyspy, tylko sobie samej podległą przyrodę. Z wysileniem przychodzi mi składać na mary wspomnienia nawałem się obecnie tłoczące. O ileż to dzikich postaci, ileż mówiących twarzy, tłoczy się do mej pamięci! Tofa! Tofa! do widzenia! Mam ja jeszcze i inne twarze, białe, które mi was na czas jakiś zapomnieć każą. Tofa więc na chwilę, zaśnijcie.

Pomiędzy temi nielicznemi twarzami każącemi mi zapomnieć błogie sceny mego oceańskiego życia, twarzami niestety bardzo nielicznemi—znajduję was, druchy mego serca was dwóch szczególnie razem, gdyż rozdzielić was nie potrafię. Jeżeli do was obu M. i K. dodam moją matkę i siostrę, to zdaje mi się, że już mi się wyczerpał świat miłych mi osób, znanych mi u nas. Was ujrzeć, wymienić wspólne „Alofa,“ oto cel mej podróży. Co wy też porabiacie? Gdzie was mój list zastanie, wiatr bo rozmiata liście i życie ludzi. Ostatnie nowiny donoszą mi, że K. łatał niedawno u jakiegoś magnata na Rusi marmurowe antyki. Ty zaś M. łatasz płachtę życia po staremu w Warszawie. Niedługo nadejdzie chwila, kiedy się znowu zobaczymy po długiej rozłące. Zapalimy fajkę pokoju i przyjaźni, i przebiegniem nasze doświadczenia na walnej naradzie.

List ten piszę tutaj pod południowym biegunem, by mieć dosyć czasu na ukończenie i zamierzam go oddać w ujściu kanału, by posłany przez Francję dosięgnął was prędko, może jeszcze przed mojem przybyciem do Londynu. Tutaj nie zabawię długo, najwięcej tydzień, chciałbym zobaczyć Britisch Muzeum i znieść się listownie z wami, abyście mogli pisać do mnie tutaj.

Jeżeli kto z waszych znajomych, rodak, a szczególniej jeżeli przyjaciel nauk przyrodzonych znajduje się w Londynie, to mi jego adres przyślijcie.

O mych zamysłach nie mogę jeszcze nic powiedzieć, gdyż wszystko zależeć będzie od otrzymanych nowin. Z Londynu udam się do Hamburga, co dalej będzie nie wiem, ale wiem to tylko, że na dnie mej duszy leży ciężka i zdaje mi się niepodobna do wyrwania kotwica, żądza wrócenia na moje ukochane wyspy.

Co do moich ostatnich kolei, to wiecie już o mojem rozbiciu, jeżeliście otrzymali moje listy ostatnie z Samoa, z Nowej Zeelandji i z Australji. Obecnie mało nowin mam do dodania i chyba tylko nieco szerzej rozpiszę się o sobie.

Człowiek jest to dziwna mięszanina, chaos kontrastów, algebraiczną sumą o nigdy nie pewnym znaku, gdzie ujemności jednej chwili stają się dodatnością w mgnieniu oka. Zadaniem rozsądnego człowieka, jest rządzenie tych tak sprzecznych żywiołów przez swój rozum, i dla tego nieraz, rozsądni ludzie działają wbrew swoim uczuciom i chęciom. Dzisiejszem hasłem życia jest praktyczność i jeżeli takowa pozwala odrobinę miejsca słabszym przymiotom umysłu, to jest to wielkiem szczęściem. To są pojęcia mego pelawskiego przyjaciela brunatnego, z którym nie raz paliłem fajkę na szczytach i brzegach wyspy Malakal. Nagadał on mi wiele innych rzeczy, przy mojem odbiciu od tych wysp, sądząc, że daje mi przez to pożyteczny podarek na drogę. Gdym go prosił, by mi towarzyszył do moich rodzinnych stron, on pokiwał tylko głową i odrzekł, że: „chociaż tylko głupi ludożer, woli jednak tutaj czekać na mój powrót. Daleko zresztą nie mógłbym ci towarzyszyć — dodał — poznasz to przy pierwszem spotkaniu się z twoimi białymi braćmi.“ Poczciwiec wielką miał rację.

Odbijając od karolińskich brzegów, myślałem o was i o tutejszych ludziach tak, jakby myślał mój pelawski przyjaciel, gdybyśmy go przenieśli 16 000 mil od jego bananami ocienionej chaty. Wszystko widziałem tylko oczami duszy, w której nerw wzrokowy, drwi z praw logiki i nieraz widzi najwięcej, gdy katarakta jest najgrubszą. Lecz tego rodzaju poglądy trwały tylko dopókim się nie spotkał z moimi tj. białymi braćmi, jak mi to mój przyjaciel Aruguk wywróżył. Już na Samoa poczułem, że należę do białych i że Pelawczyk miał słuszność. Gdyby

on mi towarzyszył w ciele, szybko by wyzionął ducha.

W Samoa zacząłem się budzić z mego snu i z trwogą spoglądać na przyszłość. Cała złośliwość, nikczemna służebność, głupia pusta pycha, chciwość zysku, naga niemoralność, znowu mnie powitały, pokryte płachtą wyłataną zasadami religji i cywilizacji. Tutejsi biali, wszyscy bez wyjątku, od fijoletowego biskupa i misjonarza w białym krawacie, aż prawie do codziennie pijanego białego wyrobnika, są to pijawki, pasące się na biednym krajowcu. Oh... gdyby oni kradli tylko pot jego czoła! Zaiste, nazwałbym ich jeszcze szlachetnymi! Ale kradną oni wszystko, i pod jak najświętszemi pozorami, robią go niewolnikiem własnego interesu.

Będąc tu nie dla interesu, widziałem w krajowcu pokrzywdzonego współbrata, a w innych białych współludziach, nikczemnych łgarzy, kotów. Pobyt mój tutaj był mi więc dla wielu przyczyn niemiłym, a najwięcej z tego powodu, iż mi przypomniał, że znajduję się na drodze do niezliczonych tortur. Zacząłem żałować Karolin, gdzie krajowiec po największej części nie zna jeszcze jarzma białych i opuszczając Samoa, śmiejcie się moi bracia, płakałem jak dzieciak. Wszystko com pokochał, co mi było zawsze miłe i moje uczucia wiernie odpłacało, pozostawiałem za sobą. Długo, długo widziałem powiewające chusty przed mym domem, aż w końcu dom, brzeg i cały ląd, zniknęły pod horyzontem. Ach moi drodzy, jak smutnym czułem się w tej chwili! Na nieszczęście morska choroba oszczędziła mnie i musiałem czuć całą gorycz tej rozłąki.

Przybywszy do Aukland na Nowej Zelandji, nudziłem się śmiertelnie przez dni 9. Jest to jeszcze miasto młode, mające jednak szanse stania się potężną handlową stolicą.

Ten przeważnie handlowy charakter miasta, jest jednak przyczyną, że mi się Aukland nie podobało. Właściwiej powinienem się wyrazić, że niepodobał mi się angielski tu sposób życia. Ów zabiegliwy ruch za pieniądzmi, z zaparciem się wszelakich uczuć, owa chciwość, bigoterja, przechwalstwo i brutalna gnuśność Anglików, nie pozwoliły mi zapomnieć owych tak spokojnie i błogo przeżytych chwil na Oceanji. Niedobitki Maorów włóczące się po ulicy, pomnik postępu angielskiej cywilizacji, powinneby obrzydzić pobyt tutaj każdemu przyjacielowi prawdy.

Jakim prawem przybył tutaj Anglik, zagrabił ziemię, wybił krajowców i pobudował kościoły, w których modli się do mniemanego Boga, Boga miłosierdzia i miłości bliźniego? Rozumując jako zoolog, należy przyznać, że podług zasad naturalnego wyboru, biała rasa jako zdradliwsza, miała lepsze warunki do zagrabienia Nowej Zelandji. Nader mała jest tu liczba czarnych ludzi, są oni nazwani ludożercami. Biali pożerają i dręczą całe społeczeństwo, i jest to oznaką siły i przedmiotem chluby.

„Thames Hotel,“ w którym stałem przez te kilka dni mego pobytu, cieszy się jak najlepszą renomą. Przedewszystkiem kuchnia ma być pierwszą na Aukland. U nas panuje to uzasadnione mniemanie, że hotel czyli dom gościnny, istnieje przez i dla gości, podróżnych. Angielskie, czyli raczej auklandzkie poglądy, są zupełnie odmienne. Najgłówniejszą częścią hotelu jest zawsze tu szynkownia, gdzie miejscowi przechodnie stanowią główny personal. Dla turystów jest kilka odgrodzeń na pierwszem i drugiem piętrze, gdzie jest łóżko, krzesło i lustro. Mały kącik w domu odgrodzony na pryśnic i to Anglik nazywa „wygodami pierwszej klasy!“ Noc liczy się 3 złote polskie, śniadanie 2 złp. objad 3 złp. kolacja 2 złp. bez kawy i napojów. Chcąc pisać listy, należy iść do wspólnego salonu, przyjmując gości należy iść do ogólnego salonu. W owej dziurze, sypialni, nie masz miejsca na dwa kufry. Oto wygody pierwszorzędnego hotelu w Aukland, hotelu wyglądającego z zewnątrz bardzo porządnie i zachęcająco.

Na moich biednych wyspach mogłem dać więcej miejsca przybywającym gościom. Owa pierwszorzędna restauracja jest otwartą tylko 6 dni w tygodniu, w niedzielę nie ma jadła, gdyż kupcy, rezydenci miejscowi jedzą w swoich domach, będących zwykle za miastem, tylko w dni robocze, może hotelowy gość korzystać z okazji. W niedzielę musi iść do dolnej publicznej restauracji i jeść z najgorszą publiką. Anons w gazetach obiecuje niewyczerpaną wygodę, konfort, pierwszorzędną gościnność, a w rzeczywistości jest to publiczna szynkownia, pokryta pozorem hotelu.

Dla podróżnika, szczególniej naturalisty, Aukland nie przedstawia nic godnego uwagi. Zoologiczne Muzeum jest to marna chałupa, świadcząca o zamiłowaniu do nauki jakiem odznaczają się auklandcy handlarze. Piękne Muzeum ma się znajdować w Wellington. Muzeum auklandckie nie posiada nawet kompletnie reprezentowanej nowozelandzkiej fauny.

Teatr, do którego uciekłem chroniąc się przed nudą, napełnił mnie obrzydzeniem i dał najlepszą sposobność poznania żywiołów stanowiących tutejsze społeczeństwo. Gminność zdaje się być pierwszym przymiotem miejscowych mieszkańców.

Pomimo troskliwych poszukiwań, nie znalazłem tu ziomków, ale za to więcej muskitów niżby to chciała moja skóra, nudziłem się niemiłosiernie i z radością powitałem przybycie amerykańskiego pocztowego parowca „Mikado,“ na którym zamierzałem udać się do Sydney.

Parowy statek „Mikado“ jest to żelazny okręt, 400 stóp długi i 3.500 ton wielki. Obok olbrzymiej śruby ma cztery maszty z odpowiedniemi żaglami, więc nie pytając o pogodę lub wiatr, przebywa odległość z St. Francesco do Sydney w 27 dni.

Po czterodniowej bardzo wygodnej podróży, ujrzeliśmy Sydney. Owe kilka dni spędzone na statku wydały mi się jakby przeżyte na lądzie. Doborowe towarzystwo, damy, zebrania w salonie, muzyka, wieczorami gry, wypędziły ze mnie Oceańczyka na chwilę. W Sydney zaczęła się znowu nuda.

Zabrawszy znajomość z kilkoma osobami na statku, udaliśmy się do pierwszego hotelu „Royal Hotel,“ który jest wprawdzie najlepszym na Oceanji, ale nie jednym z najlepszych hotelów. Za 20 rs. tygodniowo, miałem mały pokoik i trzy razy dziennie wyśmienity stół. Anglik nie ma daru do trzymania hotelu.

Sydney jest nie brzydkiem miastem. Posiada bardzo piękne budowle, śliczny ogród i niezłe Muzeum. W ostatniem są skielety zagubionego Moa. Teatr nie tak jest brudno utrzymanym jak auklandzki, ale jest dalekim od pojęcia czystości. Podczas przedstawienia ogromnie okrzyczanej buffy „Chilperie,“ w której najgłówniejsze męzkie role przedstawiane były przez kobiety, gdzie pierwszy tenor wył ochrypłym skrzypem nałogowego pijaka, nie mogłem wytrzymać takiej męki i uciekłem w drugim akcie, szukając podpory w kieliszku brandy. Było to za wiele na moje nerwy. Sydnejczycy jednak robią pieniądze, chwalą się swym teatrem, ale nie mają stałej trupy.

Straszny upał i kurzawa co chwila zmieniając się w deszcz i błoto, nie pozwalają na włóczęgi uliczne. Nie ma tutaj zakładów podobnych do naszych cukierni, restauracji i kawiarni; jedyną rozrywką jest włóczenie się z jednej szynkowni do drugiej (przyzwoiciej: z hotelu do hotelu), i picie stojąc przy bufecie, plecąc głupstwa z pięknemi (sic) bufetowemi. Jest to czysto angielska przyjemność. Anglicy nie mają knajpiarskiego zmysłu jak Niemcy, i wszystkie podobne zakłady są nieznośne dla nie - Anglika.

W Sydney zanudziłbym się, gdybym nie znalazł tu rodaka z Warszawy. Wprost mego hotelu widziałem zakład krawiecki na wielką skalę pod nazwą „Warsaw House.“ Właściciel H. Zions (wymawia się Zajons). Wszedłszy pewnego dnia do jego sklepu zapytałem, czemu swój dom nazywa warszawskim i otrzymałem odpowiedź: ponieważ pan Zając pochodzi z Warszawy. Zaczęliśmy mówić po polsku, ale szło nam to tak gładko, że po pierwszej próbie, aż do ostatniego dnia mego tu pobytu mówiliśmy po angielsku. Pomimo skoślawionego języka, człowiek ten miał serce i obejście polskie i odetchnąłem nareszcie po latach rozłąki ojczystą myślą. Towarzyszył on mi przez kilka dni i odprowadził mnie na okręt. Jest on bogatym.

Polując za rodakami, miałem tu śmieszny wypadek. Przechodziłem raz pierwszorzędną ulicą w Sydney i ujrzałem restaurację noszącą nazwę „Café francais.“ Wchodzę. Urządzenie francuskie. Pytam o francuskie gazety, nie ma; chcę mówić z gospodarzem po francusku, nie rozumie, gdyż jest Anglikiem. Od Zionsa dowiedziałem się, że żyje tu jeden Polak, profesor języków. Ucieszyłem się bardzo myślą, że będę mógł pogawędzić w rodzinnej mowie Pewnego ranka spotykamy go przy bufecie. Mój przyjaciel Zając przedstawia mi mego rodaka po angielsku, ja witam go serdecznem „dzień dobry,“ mój ziomek odbąkiwa coś po angielsku, pono jakiś komplement, że się bardzo cieszy ze spotkania i daje zręcznego nura. Zając pękał ze śmiechu, nasz wspólny ziomek zapomniał po polsku i nie chciał się przyznać do tego. Ani jednej polskiej gazety w Sydney. Bardzo mi było przykro.

W Sydney spotkałem pewnego Niemca, także zbieracza dla p. Godeffroy. Wraca on obecnie z żoną do Hamburga. Spotkanie nasze było niby serdeczne, jednak zdaje mi się, że mój kolega jest wielkim samolubem i nie bardzo dobrze mi życzy. Pomiędzy zbieraczami i podróżnikami panuje jakaś głupia zazdrość. Każdy chciałby zrobić sam wszystko, chciałby być najważniejszym. Wprawdzie nie złamało mi to serca, ale kazało mi być bardzo ostrożnym.

Postanowiliśmy jednak płynąć razem na jednym okręcie. Gdyby nie było kilku okoliczności nakazujących mi jak najprędzej przybyć do Europy, żałowałbym bardzo, żem się zabrał z tym okrętem.

„Parramatta“ jest pełnym okrętem o 1.500 ton objętości i ma renomę najwygodniejszego choć nie najszybszego okrętu. Lubo zamówiłem miejsce na 48 godzin przed wyżaglowaniem, dostałem jednak nie bardzo wygodną kabinę. Spóźnionym zawsze dostają się kości.

Zamiarem moim byłoby udać się parowcem, oszczędziłoby mi to może połowę czasu, ale miałem chęć obżaglować Przylądek Horne, dopełniając przez to żeglugi na około świata. Podróż około Cap Horne, jest uważaną za bardzo niebezpieczną i niewygodną. Należy schodzić aż do 56° szerokości południowej, gdzie jest zimno, mgła, lód, bardzo wzburzone fale i gwałtowne wiatry. (Dok. nast.)

NA DZIŚ

wiersz napisany

w dwudziestą pierwszą rocznicę zgonu

ADAMA MICKIEWICZA.

W przeszłość wpatrzeni, co purpurą krwawą
Okrywa naszej niewoli początek,
Z boleścią w sercu i powieką łzawą
Błądzimy smętni w cmentarzu pamiątek;
A widząc jak wciąż znika w mgle ciemięstwa
Promień zapału, co nam dawniej lśnił,
Pytamy trwożni, czy nam starczy męstwa
Na dalszą podróż, czy nam starczy sił?

Ci, co nam światła wzniecili przewodnie,
W upadku chwili trzymali na siłach —
W grobach już legli — a jasne pochodnie
Dziś opuszczone gasną na mogiłach;
Więc zabłąkani w zwątpienia pomroki
Czujem cierń trwogi, co się w duszę wpłótł,
I jak Izrael gdy tracił proroki,
Pytamy blednąc, kto nas będzie wiódł?

Jedni bluźnierstwem kalając swe wargi,
Niebiosy słowem wyzywają wrogiem:
„Ginących jęku i zhańbionych skargi
Usłysz, wołają, wszak Tyś naszym Bogiem!
Ofiary chciałeś — czyż o Ojcze ludów
Mało Ci dalim łez, krwi naszej — sądź!
Łaski nie chcemy, nie żądamy cudów,
Lecz światów Sędzio sprawiedliwym bądź!“

Drudzy znów błędnym w koło wodząc wzrokiem,
Z jakąś nadzieją stają w tym pochodzie,
Jakoby chcieli łzawem swojem okiem
Litość w ciemiężczym rozbudzić narodzie.
Jakby im oczy w stuletniem cierpieniu
Dziecięcych rojeń zaciemniła mgła;
Zda się chcą wierzyć w dziwnem zaślepieniu,
Że ten co zabrał — ten nam wolność da!

O! dość tych złudzeń! Wróg nasz bez litości!
Tę prawdę wyssał każdy z łona matki,
Tej prawdzie świadczą ojców białe kości
Wichrem miotane po śniegach Kamczatki;
Śród murów Pragi niemowląt ofiary,
Więzionych męki, i łzy matek ich,
Cichy jęk ludu co bronił swej wiary
Prawdzie tej świadczą — o dość złudzeń tych!

Nie mgłą tych rojeń, nie czczych modłów brzmieniem
Cel nam osiągnąć — wolności wawrzyny;
Czyn dla nas środkiem, czyn naszem zbawieniem,
Modlitwą naszą dzisiaj tylko czyny!
Wszak dla nas niegdyś wzniecone pochodnie
Samotne gasną dziś u naszych nóg, —
O! wzniećmy znowu te światła przewodnie,
A nie zbłądzimy wśród niewoli dróg!

I dziś nad Wieszcza wstrzymani mogiłą
Z uczuć Śpiewaka najsłodszej spuścizny
Weźmy, co w życiu najdroższem Mu było,
Weźmy pochodnię miłości Ojczyzny!
Płomień ten serca oddajmy w ofierze,
Blask do najskrytszych jego wpuśćmy stron —
A może chwilę poczujem tak szczerze,
Jak życie całe czuł tę miłość On!

Z światłem tej świętej miłości na przedzie,
Zwycięsko staniem u pochodu końca,
Blaskiem promieni miłość nas powiedzie
I przez nią dojdziem do wolności słońca!
W puklerz miłości gdy uzbroim duszę,
Upokorzenia nie splami nas pył,
Męki nie ugną, nie złamią katusze,
Miłość nas wesprze, miłość doda sił!

Ojczyzny śnieżną szatę niewinności
Biada kto plami Kainów zbrodniami!
O biada temu kto w ducha niskości
Z hydrą niezgody staje między nami!
O nie uwierzym zdradliwemu słowu,
Pochodnia Wieszcza niech nam świeci w mgle!
A znów powstaniem i odżyjem znowu —
Lecz zgodni bądźmy — lecz kochajmy się!

Klemens Kołakowski.

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom drugi.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VI.

Pan i pani Conroy w domowem pożyciu.

Sposób w jaki One horse gulch, przyjął wiadomość o ożenieniu się Gabryela Conroy, charakteryzuje wolny, mocno wybitny gminny żywioł miejscowy. Nie szczególnie troszcząc się o miłosne konszachty Gabryela z panią Markle, których opłakany koniec, zresztą był w ogóle mało znany, zarzuty przeciw związkowi oparto na fakcie, że narzeczona była obcą w miejscowości, a zatem była przedmiotem podejrzeń; jakoteż, że pożyteczna działalność Gabryela w jej publicznym filantropijnym zakresie, mocno i szkodliwie zostanie ograniczoną.

Niezwykle krótki czas trwania położenia jego jako narzeczonego, nie wywołał zdziwienia w klimacie, gdzie żniwo następuje tak prędko po zasianiu i przy powszechnie znanym fakcie, że on to właśnie uratował życie kobiety, gdy woda wyrwała groblę w Black-Canon — co było uznane za dostateczne uzasadnienie powodzenia w jego swataniu się. Zanotować tu należy, że w całem One horse gulch, powstała pewna złośliwa wątpliwość co do wytrzymałości rodzaju niewieściego.

Mogła w prawdzie tu i ówdzie ujawnić się zazdrość, co do powodzenia Gabryela; to pewno jednak, że ani prawość jego ducha, ani też zręczność jego, ni siła, nie wywołały owej zazdrości. Tylko szczególne zrządzenie szczęścia, okoliczności i społeczność postawiły go w możności wyzyskania w takiej mierze na swoją korzyść szczególnych stosunków w One horse gulch.

— Jak pomyślę sobie, mówił Joe Briggs, że tego samego południa ja sam chciałem iść na polowanie, i Bóg wie dla jakiej błahej przyczyny zostałem w domu, a ten Gab, wałęsając się po górze, spotkał piękną dziewczynę, która ni z tego ni z owego została jego żoną — to go tówbym powiedzieć: niech to wszyscy djabli wezmą!

— To prawda, zauważył Barker; wszystko zależy od szczęścia. Ot, popatrzcie na Dundlie, który przecież ma dość pieniędzy i okrutnie chętnie chciałby mieć żonę; a jutro znowu idzie do Sacramento, ażeby bliżej się rozpatrzeć. Ten już Bóg wie ile razy obleciał cały kanon, ale dla niego woda nie zerwała żadnej grobli. Boże uchowaj! — Albo weźcie mój własny wypadek. Gdy w ostatnim tygodniu powóz z Fiddletowu zleciał z pochyłości przez Dry Creeck, czyż nie pierwszy ja odciąłem koniom postronki, powóz podniosłem i pasażerów powyciągałem!.. Ale cóż to byli za pasażerowie? Sześciu Chińczyków i zasmarowany smarowóz. Takie to moje szczęście!

Do wesela nie potrzeba było wielu przygotowań. Przyzwolenie Olly złatwością zostało otrzymane; nie mogła dla niej nadarzyć się lepsza sposobność do dokuczania pani Markle. Wykwintne zachowanie się cudzoziemki, fakt, że była obcą, i szybkość z jakim swatanie zamiarom pani Markle koniec położyło, wszystkie te okoliczności pomyślnie połączyły się dla Olly, ażeby wrodzonemu jej uczuciu odwetu uczynić zadość!

Co do samej Olly, to jej nie wszystko było jasnem w tem, jak ma zachować się względem przyszłej szwagrowej, która była prosta i uprzejma i zdawała się nawet kochać Gabryela. Małą Olly od czasu do czasu opanowywało jakieś nieokreślone uczucie, jak gdyby pomimo wszystkiego pani Markle była lepszą partją — i z tych to powodów z prawdziwie kobiecą dziwacznością tembardziej ją nienawidziła. Być może, że i w głębi swego sumienia doznawała czegoś w rodzaju rozczarowania.

Z niejaką pewnością należy przyznać, że jedenemu tylko adwokatowi pani Devarges udzieliła tajemnicy co do przyswojenia sobie nazwiska Gracji Conroy. O ile się mu zwierzyła, czyli raczej ile mu zwierzyła, o tem on tylko wiedział. Tajemnicę jej zachowywał ściśle, chociaż była ona daleko sięgającą i wiadomość o zamierzonym jej zamęzciu, spotkał z uśmiechem mężczyzny, który pod względem interesów poczytuje kobietę za zdolną do wszystkiego.

— Teraz, kiedy pani masz wejść w faktyczne posiadanie, powiedział p. Maxwell, skadając swą tekę z papierami, sądzę że w przyszłości usług moich potrzebować nie będziesz.

Mówią — na jakiej podstawie, tego ja niewiem — że pani Devarges lekko zarumieniła się i wstrząsnąwszy głową, lekko westchnęła, podczas gdy odpowiadała ze stanowczością: „Spodziewam się, że nie“. Prawny jej doradca nie mało się zdziwił.

Jaka ilość tej otwartości przypadła na udział męża, tego powiedzieć nie umiem. Pozornie sądząc, przez kilka dni gdy był dopiero narzeczonym, był on dumnym z tego, że mógł mówić o wdowie „wielkiego doktora Devarges.“ Znajomość jego z nieboszczykiem jej pierwszym mężem o tyle wpływała na publiczną opinję, iż twierdzono, że związek ten zawierał się bez należytego poprzedniego zastanowienia.

— Wystaw sobie tylko pani, przewrotność tego człowieka — mówiła poufnie Sal do pani Markle — wzbudza on współczucie do swoich cierpień głodowych w górach, a tymczasem utrzymuje stosunki z wdową jednego z tych nieszczęśliwych. Nic dziwnego, gdy komu człowiek taki wyda się czemś szczególnem! Co pani w niewinności serca swego poczytywałaś za skromność, było to tylko przebudzającem się sumieniem. Nieraz zwracałam uwagę pani na to; ja dawno już czułam, że nie mogę Gabowi prosto w oczy spojrzeć.

Złe języki wprawdzie robią przy tem uwagę, że Sal była na oba oczy zezowatą i dla tego fizycznie niemożebnem dla niej było patrzeć

„prosto“ w oczy; ale takie złe języki nigdy nie miały wielkiej wiary u pani Markle.

Upłynął miesiąc po weselu; pani Markle siedziała sama w gościnnym pokoju, dokąd wyniosła się po zarządzeniu wieczerzy, gdy wtem wchodowe drzwi otworzyły się i weszła Sal. Było to wieczorem w sobotę; Sal dla rozrywki pozwoliła sobie przez krótki czas zabawić się plotkami i jak utrzymują złe języki, zalotną pogadanką z pewnymi młodzianami.

Pani Markle spojrzała na nią, gdy powoli zdejmowała olbrzymi podzwrotnikowemi kwiatami ubrany słomiany kapelusz, potem obszerną chustkę w kształcie pledu, który w sprzeczności z kapeluszem zupełnie inne barwy przedstawiał. Ale dalej nie mogła pani Markle zapanować nad swoją ciekawością.

— Cóż się tam dzieje z młodą parą? zapytała.

Sal za nadto dobrze wiedziała ile zyskuje na interesie wiadomość, gdy otrzymanie jej wymaga nieco czasu i trudu. Nie odpowiedziała zatem zaraz, ale z taktem skończonej artystki, nadała sobie taki pozór, jak gdyby pani swojej należycie nie zrozumiała. Dopiero gdy pytanie to raz jeszcze zostało powtórzone, odpowiedziała z napół sarkatycznym uśmiechem:

— Racz mi pani przebaczyć, ale pani zapytywałaś o młodą parę, a ona, ma najmniej czterdzieści lat na grzbiecie; jeżeli w ogóle ma cokolwiek.

— Ależ nie, Sal, odrzekła pani Markle tonem niby przeczącym, w którym jednakże widocznie przebijało pewne własne zadowolenie; ty pewno mylisz się.

— O! zawołała Sal, machnąwszy przecząco rękami, jeżeli pudr ryżowy, przyprawione włosy i tym podobne koncepciki mogą przynęcić tego i owego, to Sal takiemi błazeństwami nie da się wyprowadzić w pole. Nie, nie, pani Markle! Musiałabym chyba nie długo jeszcze być przy kobiecie, która otwarcie i szczerze przyznaje się do swoich trzydziestu trzech lat, a przytem... niech to będą ostatnie słowa, które mówię i niech mnie Bóg według nich sądzi gdy kłamię — a przytem ma szyję i parę rąk jak szesnastoletnia dziewczyna, — abym od razu nie poznała, gdy kobieta ruderę swoich czerdziestu lat chce przyprawić dwudziestoletnim sosem. Sal Clark, musiałaby w takim razie nie mieć oczu w głowie. Ot i wszystko!

Przy tak naiwnie pochlebnych słowach, lekki rumieniec wystąpił na twarz pani Markle i rzekła:

— Wielu utrzymuje, że jest piękna.

— Co dla jednego jest przysmakiem, to dla drugiego bywa trucizną, odrzekła Sal sentencjonalnie, zdejmując z siebie ogromny czarny aksamitny stanik, wskutek czego zdawało się, że cały zapas jej talji z brzegów występuje.

— Jakże wyglądali? zapytała pani Markle, po chwili biorąc napowrót do rąk robótkę, którą położyła była.

— Wyglądali tak, jak wyobrażałam sobie, że w pierwszych czasach wyglądać będą. O wielkiej miłości nie ma tam mowy. Mojem zdaniem on ma już dość tego. Ona rządzi domem i wszystkiem co w niem jest. Widzi pani jaka to kreatura! Nabiła Gabowi głowę, ażeby w całym szychcie szukał i kopał i ten głupiec w samej rzeczy zarzucił swoją robotę, począł biegać tu i tam i w najdziwaczniejszy sposób, dziury w górze robić, byle tylko zadowolić tę kobietę, a jednak nie jest ona jeszcze zadowolona. Niech mi pani zawierzy, pani Markle, w tem jest coś niezewszystkiem tak, jakby należało. A jeszcze przy tem ta Olly...

Pani Markle bystro spojrzała i znowu odłożywszy robótkę, zawołała żywo:

— Olly! biedna mała Olly! co się z nią stało?

— Ha! odrzekła Sal niecierpliwie; zarozumiałość i wyniosłość tej Olly są nieznośne. Pomyśl tylko pani, że przez cały miesiąc, nie ukazała się tu w naszej stronie, ale na dzień przed ślubem musiało się wydarzyć, że mnie ten djabełek wlazł w drogę, i tak mi powiedział... „Sal, możesz powiedzieć pani Markle, że brat mój Gab żeni się z panną, z damą...“ z damą, powiedziała! A dziecko to ma dopiero ośm lat! A! to każdemu nie stanie cierpliwości.

Na pochwałę często czernionej płci, trzeba tu nadmienić, że pani Markle domyśliła się docinku tkwiącego w słowach Sal, i zapytała:

— Ale cóż się stało z Olly?

— Dla dziecka nie mam tam miejsca w domu, a ten Gab jest tak słaby i bez serca, iż żonie całkiem pozwala iść za własną jej wolą. Doprawdy, iż nie ma czemu dziwić się, że dziecko płakało, gdym ją w lesie spotkała.

Rumieniec gniewu wystąpił na twarz pani Markle, która czarnemi swemi oczyma znacząco błysnęła. „Chciałabym...“ zaczęła żywo, ale potem zatrzymała się, i spojrzała na swoją towarzyszkę.

— Sal, zawołała po chwili gwałtownie, muszę rozmówić się z dzieckiem.

— Co?

Słowo to miało w ustach Sal wielostronne, daleko sięgające i wiele obejmujące znaczenie. Pani Markle wiedziała o tem i powtórzyła:

— Muszę widzieć Olly — i to zaraz!

— Gdzie? zapytała Sal.

— Tu, odrzekła pani Markle, wszystko jedno gdzie. Sprowadź ją tu jak można najprędzej.

— Ależ ona nie przyjdzie.

— Więc ja pójdę do niej — rzekła pani Markle ze stanowczością właściwą jej charakterowi. Skończywszy na tem rozmowę, kazała Sal zająć się niewymytem jeszcze naczyniem.

Jeżeli było co prawdziwego w opowiadaniu Sal, to wszakże nic podobnego na jaw nie wychodziło. Młode małżeństwo, było pozornie tak zadowolone, tak szczęśliwe i męskim mieszkańcom One horse gulch, okazywało się tak godnem zazdrości jak mało związków, które kiedykolwiek urządziły sobie domowe ognisko w granicach tej miejscowości.

Jeżeli większość mężczyzn odwidzających Gabryela, składała się z gentlemenów, to łatwo dało się to wyjaśnić przeważającą ilością płci męskiej w osadzie. Jeżeli ci gentlemeni byli zupełnie zgodni w wychwalaniu pani Conroy, to i to należało przypisać tejże samej przyczynie.

Że Gabryel bez celu kopał otwory na pochyłości góry, a regularnych swych zajęć na skromnym swym udziale w kanonie zaniechał, to łatwo można było pogodzić z chęcią dogodzenia żonie.

W kilka dni po powyższej rozmowie, siedział Gabryel pewnego wieczora przy ognisku swego nowego domu, który pani Conroy poczytała za niezbędny przy nowych ich stosunkach. Było to większe, pretensjonalniejsze, droższe, ale może mniej wygodne pomieszkanie, aniżeli to, do którego czytelnik pierwotnie był wprowadzony. Dom ten zbudowany został przy pomocy kredytu, który w One horse gulch z gotowością ofiarowano każdej głowie domu; tam bowiem zaprowadzanie gospodarstw i familijnego życia nawet z pewnem pieniężnym zyskiem zawsze popierano. Oprócz zwykłych izb, znajdował się w nowym domu, jako niezwykły zbytek, t. z. parlor (salon), teraz upiększony i ponętny, wskutek obecności pani Conroy, która w tej chwili rozmawiała z kilku gośćmi, przedłużającymi wizytę swoją do późnej godziny.

Gdy śmiechy ucichły, a drzwi zamknęły się za ostatnim gościem, pani Conroy powróciła do innego pokoju. Tam było ciemno, gdyż Gabryel bez świecy siedział na zwykłem swem ulubionem miejscu przed ogniem.

— A! jesteś tu? zapytała wesoło pani Conroy.

Gabryel spojrzał i odrzekł z właściwą sobie powagą:

— Tak!

Pani Conroy przybliżyła się do swego męża i pana i ze swobodą, właściwą młodym mężatkom, wsunęła mu cienkie swe do szponów podobne palce we włosy. Gabryel pochwycił jej ręce i przez chwilę trzymał je z przyjaznym, pieszczotliwym a jednak znękanym wyrazem, który zdaje się, że niepodobał się jego żonie, cofnęła się bowiem.

— Dlaczego nie przyszedłeś do parlor? rzekła, pytająco spoglądając na niego.

— Dziś wieczorem nie byłem usposobiony, odrzekł Gabryel ze spokojną prostotą, a przytem sądziłem że i bezemnie dasz sobie tam radę.

W tonie tych słów nie było najmniejszej goryczy, ani przykrego uczucia, i chociaż pani Conroy pilnie wyszukiwała ukrytych iskier zazdrości, musiała jednak przyznać, że w spokojnym i poważnym człowieku siedzącym przed nią, nic podobnego nie było. A on, zauważywszy jak mu się zdało w twarzy swej żony pewien rys niezadowolenia, wyciągnął ręce, lekko objął ją za talję i posadził sobie na kolanach. Ale cała ta czynność tak wyraźnie nacechowana była uwzględnieniem pewnego rodzaju fizycznej i moralnej niemocy żony, że niezadowolenie nie przeszło.

Podniosła się szybko i usiadła po drugiej stronie ogniska. Z tą samą milczącą cierpliwością jaką zawsze okazywał, i teraz Gabryel nie starał się jej trzymać.

Pani Conroy nie nadąsała się, jakby to inne kobiety zrobić mogły. Owszem, uśmiechnęła się, przyczem linje od nozdrzów przeciągnęły się aż do ust, a ostro zarysowany jej nos jeszcze wybitniej wystąpił; potem rzekła, słodko na męża spoglądając:

— Czyś niezdrów?

— Zdaje mi się, że... że niezupełnie mi dobrze.

Tu nastąpiła pauza, podczas której oboje wpatrywali się w ogień.

— Czy jeszcze nic nie osiągnąłeś tam na pochyłości góry? zapytała w końcu pani Conroy ponuro.

— Nic, odrzekł Gabryel.

— Czy już całą pochyłość obejrzałeś?

— Całą.

— I nic nie znalazłeś?

— Nic. Wcale nic. To jest, mówił dalej ze zwykłą swą oględną rozwagą, to jest nic wielkiego. Złoto, jeżeli tam się znajduje, to leży dalej, tam gdzie już pierwej kopałem. Ale zrobiłem to by uczynić zadość twej fantazji. Wszak wiesz, Juljo, że była to twoja fantazja, — dodał tonem skromnego przeproszenia.

Straszliwa myśl opanowała nagle panią Con-

roy. Miałżeby doktor Devarges omylić się? Czyżby w gorączkowym szale, lub obłędzie, pisał o tym skarbie? Albo może sekretarz omylił się co do miejscowości!...

Szybkie dręczące uczucie opanowało ją na myśl, że wszystkiem co osiągnęła, był tylko ten oto mąż przed nią, który przytem nie kocha jej tak, jak inni mężowie.

Pani Conroy poczynała obawiać się, że rzeczywiście kocha swego męża, i wskutek tego opanowana nowem dla niej uczuciem, czuła się teraz spowodowaną do spojrzenia mu w oczy, błagalnie i z uległością.

— Była to tylko fantazja, mój drogi i przyznaję, że niedorzeczna... Już przeminęła. Nie powracaj do niej.

— Nie powrócę, odrzekł prosto Gabryel.

Pani Conroy uczuła się dotkniętą.

— Zdaje mi się, rzekła po chwili, iż wyglądasz tak jak gdybyś był rozczarowany.

— Nie o tem myślałem, Julio — myślałem o Olly, powiedział Gabryl.

Ale nawet dla wzruszonej kobiety uległość ma granice.

— Naturalnie, rzekła cierpko, Olly i Olly, zawsze i wiecznie. Właśnie o tem miałam myśleć!

— Słusznie, rzekł Gabryel z tą samą cierpką obojętnością. Właśnie ja myślałem o tem, że ponieważ nie masz żadnego prawdopodobieństwa byście wy, ty i Olly, razem pogodzić się mogły, to byłoby lepiej, gdybyście się rozstały. Nie ma w tem racji, Julio, by dalej tak zostać miało, żadnej racji. A co jest w tem najgorszego to, że Olly nie ma z tego żadnej korzyści — żadnej.

Pani Conroy była bardzo blada i okazała niebezpieczny spokój gdy Gabryel mówił dalej:

— Zawsze miałem zamiar oddać dziecko do szkoły, ale ona nie chce. Ta Olly taka głupiukta, że nie chce mnie opuścić; a ja, ja sądzę, że także jestem tak głupi, że nie chcę rozstać się z nią. Jedyną i najlepszą drogą dla ułożenia tej sprawy, byłoby...

Pani Conroy odwróciła się i utkwiła szare swe oczy w męża; nic jednak nie powiedziała.

— Gdybyś ty na pewien czas wyniosła się, ciągnął Gabryel dalej. Dawniej już słyszałam, że powszechnym jest zwyczajem, że młoda żona udaje się w odwidziny do swej matki. Ty nie masz matki, dodał pomyślawszy — prawda?... to źle. Ale mówiłaś mi przed kilku dniami, że masz tam jakieś interesa w Frisco. A zatem byłoby najnaturalniejszem, gdybyś udała się tam na dwa albo trzy misiące, dopóki sprawa między Olly a mną nie załatwi się.

Prawdopodobnie Gabryel był jedynym człowiekiem od którego pani Conroy mogła wysłuchać, taką poniżającą propozycję, nie przerwawszy mu wybuchem niezadowolenia. Oschłą swą twarz zwróciła ona znowu ku ogniowi i parsknęła spazmatycznym śmiechem.

— Dlaczego odwidziny moje ograniczać do dwóch albo trzech miesięcy! zawołała.

— No, to może być cztery, odrzekł spokojnie Gabryel, ja i Olly będziemy mieć więcej czasu do załatwienia sprawy.

Pani Conroy zerwała się i stanęła tuż przy mężu.

— A gdybym nie przystała na to? zazytała.

Gabryel spojrzał na nią, jak gdyby taki zarzut uznawał za bardzo uzasadniony, ze względu na kobiecy charakter; ale nic nie odpowiedział.

— Co będzie wtedy, ciągnęła dalej pani Conroy gwałtownie, gdy ja ciebie i twoją błaznicę wypędzę? Co będzie, dodała podnosząc swój głos do wysokiego piskliwego dyszkantu, co będzie wtedy gdy was oboje wypędzę z tego domu... z mojego domu? z tego gruntu, z mojego gruntu, mojego gruntu? O, ho, ho! — krzyczała w rozpaczliwem, ale bezsilnem usiłowaniu wstrząśnięcia Gabryela, każde pytanie drobnemi swemi rączkami na plecach mu wybijając.

— Dobrze, dobrze, odrzekł Gabryel zwolna. Ale ktoś tam stoi przy drzwiach, Julio — dodał. Wstał spokojnie i wyszedł na dziedziniec.

Pomimo donośnego głosu pani Conroy, czujne ucho jego dosłyszało pukanie. Otworzył drzwi i na progu ujrzał Olly i Sal.

Zaledwie potrzeba nadmienić, że Sal pierwsza odzyskała możność używania szlachetnego organu mowy, mianowicie języka.

— Pomimo febry, która jest teraz w powietrzu, rzekła, już najmniej godzinę stoimy tu podedrzwiami i pukamy. „Przeszkodzisz młodej parze, Sal, mówiłam sama do siebie, jeżeli tak w nocy chodzić będziesz, i że tak powiem najświętszą ich poufałość naruszysz“ powiedziałam sobie — ale jest tu interes, który ty, Saro Clark, masz załatwić, powiedziałam sobie, bo ty wcale nie jesteś z rodzaju tych, którzy o nic nie dbając. Przyprowadzam więc tu dziecko, pani Conroy — i..

Zatrzymała się, gdyż pokój był pusty. Pani Conroy znikła.

— Sądziłam.. słyszałam, rzekła Sal zdumiona.

— Tu był tylko Gab, rzekła Olly, która natychmiast z kobiecym taktem starała się zamaskować sytuację; powiedziałam ci to. Dziękuję ci Sal za grzeczność. Dobranoc Sal.

I ze zręcznością, która Gabryela zdumiała i do milczenia zniewoliła, odprowadziła Sal do drzwi i zamknęła je za nią, nim zdziwiona kobieta usta otworzyć zdołała.

Potem Olly odwróciła się spokojnie, zdjęła kapelusz i szal i biorąc za zwisłą rękę brata, zaprowadziła go do siedzenia przy ogniu. Przysunęła mały stołeczek, urządziła się tak, by się usadowić między jego kolanami i znowu biorąc go za ręce, wsunęła między nie swe brunatne palce, spojrzała mu w twarz, i rzekła:

— Kochany stary Gabie!

Szczery uśmiech, który nagle rozjaśnił poważną twarz Gabryela, pewno jeszcze więcej obruszyłby panią Conroy, aniżeli niedawny jego obojętny spokój.

— Co tam było, Gabie? zapytała, co mówiła, gdyśmy weszły?

Od czasu wejścia małej swej siostry, Gabryel nie pomyślał jeszcze ani o słowach ani o zachowaniu się pani Conroy; a i teraz nawet zdawało się, że nie pojmuje jasno ich znaczenia.

— Nie pamiętam, Olly, rzekł wpatrując się w jej oczy, czy to było to, czy co innego; była we wzburzonem usposobieniu — oto wszystko!

— Ale co ona rozumiała pod tem, że dom i grunt do niej należą? pytało dziecię dalej.

— Kobiety zamężne, odrzekł Gabryel powoli i spokojnie, jakby miał wiele małżeńskiego doświadczenia — zamężne kobiety miewają małe swe koncepta i fantazje; ponieważ ty, Olly, nie jesteś zamężną, to nie możesz o tem wiedzieć. Wszystkiem ziemskiem dobrem ubłogosławiłam cię — oto wszystko, Olly, o czem ona myślała. Czy dobrze czas spędziłaś, Olly?

— Dobrze.

— Będziesz znowu miała dobre czasy, Olly, ciągnął dalej Gabryel.

Olly z niedowierzaniem spojrzała w kierunku drzwi wiodących do pokoju pani Conroy.

— Bo widzisz, Olly, mówił Gabryel, pani Conroy pojedzie do San Francisco dla odwidzenia niektórych swych przyjaciół. Nabiła sobie tem głowę i nikt już jej od tego nie powstrzyma. Widzisz, Olly, między nowopobranemi należy to do dobrego tonu, żeby rozjechać się i odwidzić różnych przyjaciół i przyjaciółki. Takie to rzeczy zachodzą w małżeństwie; ty o nich bynajmniej pojęcia nie masz, ponieważ nie jesteś zamężną; zatem i rozprawiać o nich nie możesz. Ale wszystko będzie w porządku, jeżeli ona wyjedzie. Ponieważ jest ona damą, która że tak powiem na wielkim świecie wyrosła, musi więc stosować się do zwyczajów tego świata. Wyjeżdża na trzy, a może na cztery miesiące. Nie wiem dokładnie ile czasu wielki świat na to wyznacza. Ale wyjeżdża, Olly.

Olly bystro spojrzała na brata.

— Ależ wyjeżdza ona nie z mego powodu! rzekła.

— Boże uchowaj! Jak ci coś podobnego może przyjść do głowy, Olly? Ona dopiero dziś wieczór ze zdumieniem zapytywała, gdzie ty się ukrywasz?

Jak gdyby w celu nadania słowom tym więcej prawdopodobieństwa, otworzyły się drzwi od pokoju pani Conroy. Weszła dama ze słodkim uśmiechem na ustach i uprzejmie promieniejącemi oczyma, chociaż zaczerwienionemi powiekami; przeszła przez pokój, stanęła koło Olly i ucałowała pulchne jej policzki.

— Domyśliłam się, że to twój głos i chociaż chciałam już kłaść się do łóżka, dodała wesoło, spoglądając na piękne swe nocne ubranie, ale przychodzę tu, ażeby przekonać się, że to w samej rzeczy ty jesteś. Gdzieżeś to bywała, ty mała awanturnico? Czy wiesz, że słusznie stanę się zazdrośną względem pani Markle? Chodź i opowiedz mi wszystko co wiesz. Chodź! dziś na noc zostaniesz przy mnie i bratu Gab nie udzielimy naszych małych tajemnic — czy chcesz? chodź!

I nim zdumiony Gabryel zdołał opamiętać się, już szybkim ruchem pociągnęła na pół nadęte i na pół zastraszone dziecko do swego pokoju. Gabryel znalazł się sam. Zdziwienie jego nie zmniejszyło się; czuł jakiś niepokój względem dziecka, gdy po chwili Olly wysunęła swą kędzierzawą główkę przez drzwi i z przekąsem powiedziała mu: „Dobranoc stary Gabie!“ a potem drzwi zamknęła mu przed nosem i zasnęła.

Przez chwilę Gabryel stał jak skamieniały. Czyżby się mylił i czyżby gniew pani Conroy był tylko żartem? Czy Olly naprawdę miała wstręt do jego żony? Rozwiązanie tych pytań zależało od ogólnie niepojętej natury kobiecej.

— Drogi kobiece są szczególnie zagadkowe, powiedział sam do siebie, idąc do pokoiku przeznaczonego dla Olly — i ja pewno nie jestem człowiekiem, któryby mógł je odgadnąć.

I znajdując w uwagach tego rodzaju uniewinnienie swego postępowania, a zarazem pewien stopień zadowolenia, zasnął spokojnie, jak to było jego zwyczajem. (C d. n.)

Wzrost i rozwój armij stałych w Europie.

Napisał

Leopold Winkler.

(*Ciąg dalszy.*)

W tej epoce, podobnie jak u starożytnych, służba wojskowa uważana była jako obowiązek naturalny, przywiązany do własności ziemskiej. Feudalność stworzyła małe armijki czasowe, złożone ze szlachty i właścieli lenników. Armje te bardzo mało kosztowały królów, gdyż rycerze obowiązani byli własnym kosztem ekwipować się, żywić i wszystkim potrzebom zadość czynić, aż do czasu, w którym upływa termin służby obowiązkowej; naprzykład trzech lub czterech miesięcy, co miało miejsce za czasów dwu pierwszych dynastyj królów francuskich; w wieku zaś XII zredukowano trwanie obowiązkowej służby do dni czterdziestu, poczem rycerze przechodzili na żołd królewski, jeśli wojna wymagała dalszych ich usług.

Ustawy Ludwika Ś-go brzmią, że po upływie czterdziestu dni, baron i szlachcic pozostający w służbie wojskowej mogą albo powrócić do swej siedziby, lub w razie potrzeby król zatrzymuje ich w służbie na swoim koszcie. W każdym razie mieli prawo odmówić, gdyby król wymagał po nich służby poza granicami kraju.

Niedostatek, a raczej brak stałych armij, spowodował napady i rozboje, czego niech będzie najlepszym dowodem ogólny postrach, wywołany w XII wieku przez bandy Normandów, których siła bardzo rzadko przechodziła 500 ludzi. Największe miasta bywały łupione przez te bandy, a historja nas uczy, że w r. 852 jedna z nich zmusiła do ucieczki całą ludność Paryża.

Zwolna jednakże liczba armij wzrastała, z powodu zaciągania do służby wielkiej liczby wieśniaków i niewolników w epoce pierwszych wojen Krzyżowych, a następnie z powodu przybrania w początkach XII wieku do pomocy w czasie wojny, a zarazem utrzymywania porządku w czasie pokoju, tak zwanych milicyj gminnnych.

Armja, która pod dowództwem Godfryda de Bouillon przedsięwzięła pierwszą wyprawę krzyżową w 1036 r., liczyła 900,000 ludzi, lecz w jej szeregach panował taki wielki nieporządek i taka niekarność wojskowa, że przybywszy do Bitynji stopniała do 700,000 ludzi, a ostatecznie przed murami Jerozolimy mogło stanąć zaledwie tylko 50,000 rycerstwa.

Armja drugiej wyprawy Krzyżowej wyszła w 1147 r. i składała się tylko z 300,000 ludzi, lecz doświadczyła wielkiego niepowodzenia pod Damaszkiem i powróciła ze wstydem do Europy. Podobnie jak przy pierwszej wyprawie krzyżowej, armja ta posiadała wielką liczbę wieśniaków i niewolników zaciągnionych przez panów, na zasadzie feudalnego prawa przymusu. W istocie rzeczy prawo feudalne nie zobowiązywało do służby zewnętrznej. Panowie, korzystając z tego prawa, wyręczali się swymi wasalami za wynagrodzeniem, a ponieważ nie zawsze punktualnie żołd płacili, niekarność i bunty zaczęły się szerzyć między wojskiem.

W późniejszych czasach służbę wojskową pełniły milicje gminne, przez co do armji wprowadzono żywioł mieszczański. Zwolna, służba zaciężna, nieznana za panowania dwu pierwszych dynastyj we Francji, zaczęła się upowszechniać z nastaniem trzeciej.

Najznaczniejsza armja, złożona z wojsk feudalnych i milicji gminnej, jaka ukazała się na placu boju, jest właśnie ta, z którą hrabia Flandrji, związany z cesarzem Otonem, Anglikami, księciem de Boulogne i księciem de Brabant, stawił harde czoło Filipowi Augustowi, na równinach Bouvines w r. 1214. Liczyła ona 150,000 ludzi, z których tylko 10,000 składało się z kawalerji feudalnej. Filip August pokonał ją swoją o połowę mniejszą armją, ponieważ ta składała się przeważnie z pułków feudalnej jazdy.

Armja, która za czasów Filipa de Valois naszła Flandrję w 1347 r., i która energicznie pospieszyła na pomoc miastu Calais, otoczonemu przez Edwarda III angielskiego, liczyła 35,000 koni, a 100,000 piechoty.

W bitwie stoczonej pod Azincourt 1415 r., ze strony Francuzów brały udział tylko wojska feudalne, a pod Crécy i Poitiers przeważnie źle prowadzona milicja gminna. Nazajutrz po tej ostatniej bitwie 80,000 milicji gminnej francuskiej zostało zmiażdżone przez 6,000 tylko włóczni i 2,000 łuczników angielskich. Poczem nastąpiło ogólne we Francji poruszenie, a wzburzona szlachta francuska, pragnąc koniecznie zwyciężyć króla angielskiego, zdobyła się na 100,000 armję, która zmusiła Anglików do odwrotu.

Jedną z ostatnich armij feudalnych była ta, która walczyła pod dowództwem Karola Zuchwałego pod Granson. Armja ta liczyła 40,000 ludzi, a w tej liczbie 18,000 jazdy.

Uboga szlachta uwolniona była od służby na tej zasadzie prawa dawnego, że nic nie posiadający nie ma czego bronić.

W późniejszym czasie rozpoczęto rekrutację również pomiędzy ubogą szlachtą i nazwano ich najemnikami. Ta klasa, uważana zarówno z nieszlachtą, wieśniakami i mieszczanami, stopniowo wzrastała, w miarę jak klasa wasalów osłabioną została, z przyczyny ustawicznych wojen wewnętrznych.

Pierwszymi jurgieltnikami była szlachta. Już w r. 1271 znalazła się niemała liczba wasalów, spełniających służbę wojskową, lecz na zasadzie umowy warującej pobierania żołdu.

Królowie, pragnąc położyć koniec wojnom wewnętrznym, osłabiającym władzę ich monarchiczną, oparli się na gminach, które okazały natychmiastową przychylność i gotowość. Tym sposobem królowie zorganizowali stałą milicję dla obrony swej władzy, i budowali wały obronne dla bezpieczeństwa osobistego. Milicja, ukazawszy się w połowie XI wieku, strzegła bezpieczeństwa w miastach, a zarazem ochraniała je od gwałtownych wybryków kasztelanów i szlachty.

Po upływie trzech wieków, milicje gminne znikły wraz z armją feudalną, którą uzupełniały. Potrzeba tej milicji stopniowo się, zniesiezała, w miarę jej niekarności i upadku męstwa. Stawała się ona raczej ciężarem niż pomocą, a niejeden wódz, będący już u celu swych zamiarów, doczekiwał się nieprzewidzianego upadku swego przedsięwzięcia.

We Francji, gdzie owe milicje okazały jakoś bardzo mało stałości, odwagi i przywiązania do sprawy, której bronić się zobowiązywały, zostały zwinięte jeszcze za czasów Karola VII. Pzzed tą epoką porządek był bardzo często naruszany przez bandy awanturników tak swoich, jako też i łączących się z nimi cudzoziemców. Bandy te niekiedy nawet wcale nie źle się sprawiały w rozmaitych okolicznościach, a szczególniej w bitwie pod Bouvines, lecz niestety nigdy liczyć nie można było ani na ich wierność, ani na posłuszeństwo. I nic dziwnego! Z jakichże to żywiołów różnorodnych bandy te się składały?!

W 1360 roku kompanje tych awanturników, delikatniej zwanych jurgieltnikami, służyły naprzemian to królowi angielskiemu, to francuskiemu, stosownie do tego, który lepiej zapłacił. Co więcej nawet, ci przeniewiercy kilkakrotnie całemi oddziałami przechodzili sobie z jednego obozu do drugiego.

Ażeby położyć koniec takim nadużyciom zaufania, Karol V zorganizował z nich armję regularną, nazwą les compagnies d'ordonnance. Wnuk zaś jego Karol VII przerobił z najemników czasowych całą armję regularną stałą w r. 1433, a stany generalne potwierdziły tę organizację, i zawotowały 1,200,000 liwrów na jej utrzymanie, która to suma na owe czasy wcale małą nie była.

Od tej chwili rolnictwo się podniosło i praca zyskała swe prawa, stałe bowiem armje zaprowadziły ogólne bezpieczeństwo, którego ani powaga królewska, ani pioruny klątew padających z ambon utrzymać nie były już w stanie.

Nic okropniejszego nad stan wewnętrzny Francji, przed zorganizowaniem stałej armji. Najznakomitsi kapitanowie — awanturnicy stawali na czele tych band rozbójniczych, które powszechnie nazywano bandami łupieczów. Ci awanturnicy łupili bez litości wsie, napadali na miasta, opanowywali je i za pomocą teroryzmu nakładali kontrybucje, a nawet podatki stałe, któremi opłacali się od grabieży i ognia nieszczęśliwi miast mieszkańcy, pozostawieni bez żadnej obrony.

Nic nie pomagały pod najsurowszą karą wydawane rozporządzenia stanów generalnych, sta nowczo wzbraniające łupiestwa, — nic nie pomagały wszelkie groźby, — dopiero wojsko regularne i stałe koniec tym okropnym średnich wieków nadużyciom położyło.

Les compagnies d'ordonnance złożone były z tak zwanej milicji arystokratycznej.

Niezależnie od tej armji feudalnej stałej, Karol VII, zastępując milicję gminną, sformował piechotę regularną, która tylko w czasie wojny pozostawała na żołdzie królewskim i nosiła nazwę francs archres.

W czasie pokoju każda parafja swoich utrzymywała, a wszyscy okazywali największą chęć ponoszenia tego ciężaru, bo byli zabezpieczeni od łupieczów. Tak więc Francja, licząca w owym czasie 15,000,000 ludności, utrzymywała 60,000 milicji pieszej, nazwanej francs archers.

Rezultaty tych pożytecznych reform Karola VII, były bardzo widoczne, a autor znakomitego dzieła: Histoire civile de l'armée françai-e, w następujący ocenia je sposób

„Granice i drogi stały się w ciągu dwu miesięcy bardziej bezpieczne, niż niemi były w jakiejkolwiek innej epoce naszej historji. Rolnictwo i handel podniosły się nagle, a miejsca opustoszone wkrótce się zaludniły. Nowe życie zajaśniało na ziemi francuskiej, która tyle nosiła śladów zniszczenia, tyle wylanej krwi szlachetnej. Wyglądało to, jakby odrodzenie, jakby najpiękniejsza wiosna, nowa jutrzenka".

Wszystko to armji stałej Francja zawdzięcza. Cesarz niemiecki, widząc rosnącą coraz większą potęgę Władysława Jagiełły, obawiał się bardzo, czy nie przyjdzie mu myśl naśladowania polityki twórcy państwa polskiego, to jest Bolesława Wielkiego, nazwanego przez Rusinów Chrobrym, który jak wiadomo walczył z Niemcami o wyswobodzenie ziem słowiańskich, zostających pod jarzmem niemieckiem, pomiędzy rzekami Odrą

Elbą. Ażeby zająć całą uwagę Władysława Jagiełły w innej stronie, cesarz posłał na pomoc ówczesnemu wielkiemu mistrzowi krzyżackiego zakonu Henrykowi de Jungingen kilkanaście tysięcy rycerstwa. Wielki mistrz, stanąwszy na czele €0,000 żołnierza wyćwiczonego, przedewszystkiem odmówił wszelkim słusznym domaganiom się dworu krakowskiego; dalej, nie chciał złożyć przynależnego hołdu królowi, a co najważniejsza, groził najściem na ziemie polskie. Wtedy na rozkaz króla Polacy, Litwini i Rusini, w liczbie nieprzenoszącej 40,000 wojska, stawili czoło zuchwałym Krzyżakom na polach Grünwaldu i Tannenburgu, pod osobistem dowództwem króla i księcia Witolda litewskiego.

Krzyżacy zostali na głowę pobici. Z ich wielkiej i wyćwiczonej armji pozostała tylko garstka, która w ucieczce życie swe ratowała. Zginął wielki mistrz w tej bitwie, w której żywioł słowiański mniejszą liczbą, lecz silniejszym duchem, oraz utrzymany przez znakomitego wodza księcia Witolda w ogromnej karności i ślepem posłuszeństwie, odniósł tak świetne zwycięstwo.

Podług źródeł historycznych liczba zabitych Niemców wynosi do 40,000. Polacy, Rusini i Litwini stracili zaledwie kilka tysięcy ludzi,

Za czasów Ludwika XI armja francuska liczyła 9,000 kawalerzystów, 10,000 piechoty narodowej i 6,000 piechoty szwajcarskiej, czyli razem 25,000 ludzi. Taką była siła, którą Ludwik XI postawił przeciw „Lidze publicznego dobra", oraz przeciw Karolowi Zuchwałemu. Mazas dowodzi, że największa i najbardziej wyćwiczona siła armji francuskiej za panowania Ludwika XI doszła do liczby 95,000 ludzi, licząc w tem i 18,000 jazdy, lecz według innych źródeł historycznych liczba ta jest przesadzoną.

W roku 1525 Franciszek I uczynił nadzwyczajne prawie wysilenia, stawiając opór w 30,000 wojska, przeciw armji cesarskiej we Włoszech, zostającej pod dowództwem Peskary.

Niemcy odnieśli tu stanowcze zwycięztwo pod Pawiją, tembardziej zasługujące na uwagę, że liczyli tylko 20,000 pieszych i stosunkowo nie wielką liczbę konnicy. Lecz była to armja znakomicie wyćwiczona, karna i podług wszystkich praw taktyki wojskowej umiejętnie prowadzona.

W roku 1532 Karolowi V zagroziła ogromna potęga turecka posuwająca się naprzód w sile 200,000 ludzi, pod dowództwem Solimana.

Karol V zdołał zebrać tylko 70,000 wojska, w którego liczbie znajdowali się Hiszpanie i Włosi, pozostający na żołdzie papieża i cesarza. To była największa armja Karola V. W roku 1535 w wyprawie do Tunisu posiadał on tylko 30,000 ludzi, płynących na 500 okrętach.

W dziesięć lat później, gdy skonfederowani rzucili się na cesarstwo w sile 85,000 ludzi wynoszącej, Karol V oparł im się stosunkowo znacznie mniejszą siłą, bo wynoszącą tylko 30,000 ludzi piechoty i 9,000 kawalerji.

Nareszcie na ogromną wyprawę pod Metz wystawił armją dochodzącą zaledwie do 60,000 ludzi.

Gdy Henryk IV w 1610 r. poróżnił się z domem austrjackim,, książę de Sully przy największych usiłowaniach zebrał 49,000 ludzi, to jest:

1,000 szlachty ochotników,
4,600 kawalerji,
25,020 piechoty,
1,000 rezerwy kawaleryjskiej,
20 dział i 6 śmigownic.

Armja marszałka Lesdignières, przeznaczona i wysłana na pomoc książętom włoskim, liczyła:

2,000 kawalerji,
12,0000 piechoty,
10 dział.
Garnizony wyniosły 4,000 ludzi.
Razem — 49,000 ludzi.

Za czasów Henryka IV używano pewnego rodzaju środków gwałtownych przy poborze do wojska. Sully przedstawia Francuzów z tej epoki wstępujących do armji pod groźbami kija lub szubienicy nawet. Przez długi jeszcze czas potem używano tych samych sposobów przy poborze do służby wojskowej.

W tej epoce inne państwa nierównie jeszcze mniejsze posiadały siły wojskowe. Naprzykład w bitwie pod Kirholmem król polski Zygmunt III mógł postawić zaledwie 4,000 wojska, pod dowództwem hetmana Chodkiewicza, przeciw Karolowi Sudermańskiemu, królowi szwedzkiemu, którego armja była podzielona na dwie części: pierwsza, w liczbie 9,000 obległa Rygę, a druga wynosząca 12,000, pod osobistem dowództwem Karola Sudermana została do szczętu zniszczoną pod Kircholmem. Ze źródeł historycznych wiadomo, że Karol stracił około 9,000 ludzi, a sam szybką ucieczką tylko ocalił się od niewoli.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XV.

Po tygodniu rocznic narodowych, które obchodzono wszędzie, gdzie stosunki na to pozwalały — w kraju i za granicą, mieliśmy tydzień sprawozdań o tych uroczystościach. Tym razem, nawet niektóre pisma niemieckie raczyły zwrócić wysoką swoją uwagę, na nas i wspomniały o tych obchodach. Nastał już taki czas, że przestaliśmy być *„versprengte Viberreste östlicher Nationalitäten,"* jak nas raz nazwał dr. Giskra. Pewna część Europy daje nam nawet do zrozumienia, że miałaby dla nas w pogotowiu łzy i inne objawy współczucia, gdybyśmy jej wyświadczyli pewną przysługę..... Ale Polak mądry, po szkodzie, odpowiada na to: *„Hans, geh' voran, du hast bess're Stiefel an."*

Szczególnym trafem, jakkolwiek rocznica śmierci Mickiewicza nasuwała pewne reminiscencje, bardzo blisko łączące się z wypadkami obecnemi, nikomu nin przyszło na myśl podnieść tę okoliczność. Program wszystkich obchodów był, rzec można stereotypowem powtórzeniem dawniejszych. Z mniejszem lub większem powodzeniem usiłowano wszędzie deklamować „Odę do miłości," której wygłoszenie jest jednem z najtrudniejszych zadań dla każdego deklamatora. *Pro bono* urządzającym te obchody nie zawadzi przypomnieć tutaj, że w roczniku *Dziennika Literackiego* z r. 1859 czy 1860 znajduje się prześliczny wiersz na zgon Mićkiewicza, napisany, jeśli się nie mylę, przez Karola Brzozowskiego. Wiersz ten zaczyna się od zwrotki:

„Ponad Bosforem kędyś. daleko,
Cudzy mężowie stoją boleśni;
Bo już zapadło grobowe wieko
Ponad olbrzymem sarmackiej pieśni.
Tu po nim Franków boleją łona,
Turczyn go liczy w proroki Boże,
A jego Litwa, Litwa rodzona
Łzy nawet jawnej dać mu nie może!"

Wiersz ten godziłoby się wydobyć z zapomnienia, przyczyniłby on się nie mało do uświetnienia uroczystości.

* * *

Karol Brzozowski należy do tych znakomitości naszych literackich, które dla zbytku skromności nie znajdują zasłużonego uznania. Ukrył się przed światem na swoim *czyfliku* pod Bejrutem, i uprawia fenickie niegdyś zagony przy pomocy małej kolonji włościan galicyjskich, których przed kilku laty, przybywszy do kraju, nie wiem jakim cudem namówił, by poszli do niego w służbę. Ludność miejscowa tamtejsza zupełnie jest nieobeznaną z europejskiemi narzędziami rolniczemi, i nie dałaby się nigdy nakłonić do ich użycia, poeta nasz zakupił tedy we Lwowie pługi i brony, i zwerbował robotników z kraju. Przy tej sposobności poznaliśmy w manuskrypcie dwie jego prace: Przekład „księgi Hioba", wierszami, i przekład „Pieśni nad Pieśniami", dokonany z oryginału, pod tem samem gwieździstem i biblijnem niebem, pod którem śpiewał król Salomon. Dotychczas nie słyszałem, by obydwa te przecudne utwory znalazły wydawcę — snać poezje p. Zabłockiego zaprzątnęły wszystkie prasy drukarskie do tego stopnia, że innych wierszy nie mają czasu drukować

* * *

W dziennikarstwie lwowskiem zaszły zmiany, nad któremi zapewne ks. Stojałowski będzie sobie łamał głowę w *Piaście*, ale ja nie dowiem się o tem ani słowa, bo chociaż codzień kupuję numer *Gazety Narodowej*, to już od kilku tygodni daremnie w niej szukam *Piasta*. Czy mu też Rzepicha nie zakazała wychodzić z domu? Powietrze w istocie jest fatalne, mgła londyńska nad błotem lwowskiem, to prawdziwa kumulacja nieszczęść. A szkoda, że nie widać *Piasta*, radbym dowiedzieć się z niego, czy *Dziennik Polski* będzie teraz mniej lub więcej bezbożnym, niż pierwej. W obec niedostatku pism humorystycznych, a raczej w obec niedostatku humoru w tych pismach, organ ks. St. zaczął już być dla mnie jedynem rozweseleniem sfrasowanego umysłu. Czasy są niezmiernie nudne, pewien fejletonista niemiecki skonstatował bardzo trafnie, że „Europa nudzi się na wulkanie"— nie zła parafraza francuskiego „tańczenia na wulkanie". Otóż, w takich warunkach, podwójnie nieprzyjemnem staje się to, jeżeli człowiek weźmie do ręki trzy lub cztery pisemka humorystyczne, i przeczytawszy wszystkie od deski do deski, pomimo najlepszych chęci, nie rozśmieje się ani razu. *Piastowi* zarzutu tego czynić nie można, gra on swoją rolę lepiej, niż Onufry w *Szczutku*.

Szczutkowi można zrobić słuszny zarzut, że nie umie on używać swoich figur humorystycznych, a niektórych, tak wybornych, jak hr. Artur, albo ciocia Kizia, nie używa wcale. Taki np. majster Onufry, który ma być personifikacją pewnej specjalności lwowskiej, znanej pod nazwą „mieszczańskiego kołtuna", często sprzeniewierza się swojej roli i zamiast prawić tak, jak prawią jemu podobni, mówi w duchu, w jakimby oni prawić powinni, gdyby nie byli „kołtunami". Pan Kalasanty jest kaznodzieją *sans peur et sans reproche*, i uosobnieniem poczciwego niedołęgi, który gani na prawo i na lewo a nie przyznaje nigdy, że sam nic lepszego od innych zrobić nie potrafi. Jeden tylko Gogo jest zawsze wzorowym, satyrycznie pojętym. Można powiedzieć, że *Djabeł* krakowski

wie zawsze lepiej od *Szczutka*, w co i kiedy ugodzić, cóż, kiedy mu forma jakoś nie dopisuje. Tak to i ks. Stojałowski pojmuje ultramontanizm głębiej od ks. Krechowieckiego, i goręcej od ks. Podolskiego, ale nie umie ani tak pięknie po polsku jak ks. K. ani też nie posiada tego mistrzowstwa w grubiaństwie i wymyślaniu, którem zachwyca nas ks. P. Mimo to prysiudy jego polemiczne, przypominają pod pewnym względem taniec Atta-Trola i będą mi zawsze pożądanemi jako niewyczerpane źródło wesołości. Dałbym dwudziestówkę za to, gdyby się wszczęła zawzięta walka między *Narodówką* a *Piastem* — trzymając się z boku, ze względu na trzaski, któreby leciały, możnaby bawić się wyśmienicie.

Jan Lam.

O potrzebie rozwoju przemysłu małego
czyli drobnego w Galicji

napisał

Jan Nep. z Oleksowa Gniewosz.

(Ciąg dalszy.)

Jest rzeczą niezawodną, że w tym artykule handlowym nie łatwoby dotychczasowi dostawcy mogli z nami konkurować; bo w kilku pracowniach systematycznych i umiejętnie prowadzonych, wyuczeni robotnicy z różnych okolic, w krótkim czasie pootwieraliby pracownie u siebie.

A jakież jest mnóstwo innych wyrobów słomianych, któremi nas kraje zagraniczne zaopatrują, a które bez wielkich trudności moglibyśmy u siebie produkować, gdybyśmy zrzucili z siebie jarzmo gnuśności i niedbalstwa!

Obowiązkiem naszym zwrócić następnie uwagę na olbrzymie i w przepysznych odmianach pokłady alabastrów, jakie posiadamy w nieprzebranej ilości w Galicji wschodniej, szczególniej od Horodenki przez Stanisławów aż pod sam Lwów. W r. 1869 na wystawie w Horodence, miał br. Jakób Romaszkan taką bogatą kolekcję alabastrów podolskich, że tylko naszej nieruchawości, że tak powiem, wstrętowi do przemysłu i użytkowania darów, jakiemi natura ziemię naszą hojnie wyposażyła, przypisać można, że dotychczas z tak prześlicznych i z łatwością wydobywających się płodów ziemnych, nie skorzystaliśmy należycie, lecz po dziś dzień z lekceważeniem po nich depcemy.

Dopóki nie mieliśmy w kraju naszym dróg żelaznych, rzecz dała się jeszcze usprawiedliwić, ale dzisiaj dalsza obojętność byłaby niezaprzeczonem świadectwem opieszałości i niedbalstwa. Każdy dobrze widzący i myślący pozna, że nie czas nam stać obojętnie z założonemi rękoma i wyczekiwać pomocy; lecz zkąd, pytam?

Smutny obraz, jakim się dział galicyjski na ostatniej wystawie wiedeńskiej odznaczał, oby był ostatnim, za który każdy Polak rumienić się musiał. Zestawienie kolekcyj płyt alabastrowych, w jakie pokłady nasze co do odmian kolorów i deseni obfitują, zaimponowały by nawet po za granicami Galicji. Wyroby alabastrowe, zacząwszy od najmniejszych drobnostek, mają najobszerniejsze zastosowanie tak w domu, jak w gmachu publicznym i w świątyni. Przyszłość tych wyrobów może zatrudnić tysiące rąk, a wywóz ich na wszystkie strony da się uskuteczniać po dobrych cenach. My sami budujemy świątynie, do których sprowadzamy ołtarze i inne ozdoby zwykle po cenach wysokich. Zajrzyjmy w inwentarze świątyń przez ojców naszych wznoszonych, a przekonamy się, że przemysł ówczesny był przeważnie rodzimy, z którego się słusznie przodkowie nasi chlubili. I właśnie w tych inwentarzach mamy niezbite dowody na poparcie naszych twierdzeń, jak szybko umysł polski przyswajał sobie wiedzę i zdolności na tem polu.

Prawdą jest także niezbitą, że ówcześni panowie z innych, wznioślejszych pobudek za granicę wyjeżdżali, aniżeli prawnukowie ich w naszem stuleciu. Powodowała nimi ambicja narodowa, a nie prywata, osobistość; i jeżeli który ujrzał w innym narodzie coś wspaniałego lub przynajmniej pięknego, nie usypiał i nie zyskiwał spokoju tak długo, dopóki nie ozdobił tem samem swojej ojczyzny. Przywoził z sobą odpowiedniego artystę, rzemieślnika lub przemysłowca, pod którego kierunkiem ukształcała się zaraz pewna liczba swojskich uczniów, a ci bardzo często w krótkim czasie wyprzedzali w zdolnościach swych nauczycieli. Słusznie to jakiś Anglik Polskę zwidzający powiedział: że czego się inny uczyć musi, z tem się Polak rodzi.

Dla właścicieli ziemskich, którzy na obszarach swoich posiadają łomy alabastrów dotąd żadnych nie przynoszących korzyści, ta gałęź przemysłu stałaby się źródłem bardzo przyzwoitych stałych dochodów, byleby się wzięli do rzeczy z pewną energją i umiejętnością. Albowiem najobfitsze i najpiękniejsze kopalnie nietylko alabastrów, lecz i innego kamienia, można przez nieumiejętne wydobywanie tak zniszczyć i utrudnić, że potem nie opłacą się same koszta produkcji.

Urządzenie tartaku do rznięcia płyt alabastrowych, od cienkości fornierów do znacznej objętości kostek i bloków, nie wiele więcej wymaga nakładu, jak najmniejszy młyn wiejski o jednym kamieniu do mielenia zboża; taki zaś tartak dopiero ułatwia korzystną i tanią obróbkę, podług wszelkich potrzeb, a wyroby alabastrowe w okolicach bezleśnych mogą mieć taką przyszłość, jak snycerstwo w górach.

W Galicji wschodniej od Zaleszczyk i Czerniowiec zacząwszy, gdzie hodowla trzody chlewnej jest znaczna, znaczny stosunkowo kapitał obraca się w tak zwanem masarstwie czyli rzeźnictwie trzody chlewnej. A jednak, jakiż ogromny kapitał wychodzi po za granicę kraju, gdy sprzedajemy towar in crudo, czyli żywy. Nie jestże to wstydem dla nas, iż pomimo tak znacznej produkcji tego towaru, handle nasze w całym kraju zmuszone są sprowadzać rozmaitej nazwy wędliny z krajów ościennych? Z wyjątkiem Lwowa i Krakowa, gdzie liczymy po kilku masarzy postępowych i każdy z nich w krótkim czasie przychodzi do znacznej fortuny, nie przyszło nam dotąd na myśl, aby towar ten przerabiać na miejscu, stosownie do wymagań, i zaopatrywać nim przynajmniej potrzeby krajowe. My jednak wolimy zajadać westfalskie szynki i włoskie salami z wieprzków, któreśmy za granicę sprzedali!

Otóż oświecenie w tym względzie licznego zastępu naszych małomiasteczkowych masarzy, wytworzyćby mogło znaczną konkurencję na zewnątrz, ale chcąc tego celu dopiąć, potrzeba rzecz przeprowadzić równocześnie w wielu miejscowościach, aby dostawy mogły zaimponować na targach ościennych.

W tym wypadku jest tylko jedna główna przeszkoda, mianowicie: zupełny u nas brak zrozumienia racjonalnych przemysłowych spółek, bez których wiele przedsiębiorstw przemysłowych, jak np. wyroby serów i mięsiw, korzystnie wzrastać nie mogą, a czego i w innych krajach bez takich stowarzyszeń uskutecznićby nie zdołano. Komuż np. nie znaną jest sława serów szwajcarskich a przecież nigdy nie byłyby one tej sławy osiągnęły bez stowarzyszeń producentów. Produkcja serów w Szwajcarji odbywa się w stowarzyszeniu jednej gminy, która posiada wspólny budynek, czyli fabrykę prowadzoną przez kilku ludzi zaufanych i opłacanych przez towarzystwo. Każdy właściciel krów codziennie zanosi do fabryki wydój mleka, a ilość tegoż zapisuje się na jego rachunek. Nsstępnie cała masa przerabia się na sery, które znowu idą na skład do wspólnego magazynu, a w końcu zostają przez głównych agentów po targach europejskich sprzedawane. Stowarzyszenia posiadają własne fundusze rezerwowe, które im dozwalają członkom udzielać zaliczki aż do ³/₄ wartości wniesionego przez nich produktu.

Korzyści ztąd wynikające są oczywiste, bo znaczna ilość produkcji umożebnia jednolitość i jakość towaru, a następnie przesyłkę i sprzedaż na odległych targach europejskich.

Taka sama manipulacja dałaby się i powinna być przeprowadzoną u nas, by zamiast sprzedaży trzody chlewnej in crudo, przynajmniej w połowie przetwarzać ją na przedmiot skończony handlowy, przez co kapitał krajowy z tej produkcji zostałby zdwojony. Wtenczas masarze zbarascy i z Rawy nie potrzebowaliby miesiącami przesiadywać na placu św. Jura we Lwowie, aby codziennie sprzedawać po kilkanaście kiełbas, których, smakowi ich nie ubliżając, na wojaż zagraniczny wysłać nie można.

Dział ten winien być głównie podniesiony i zorganizowany pomiędzy Ormianami, którzy produkują takie mnóstwo tak zwanej koziny z mięsa baraniego. Zdaje się, że powinni pojąć, iż przy niekosztownych doświadczeniach praktykowane dotąd wędliny, mogłyby pod względem jakości zamienić się z wielką łatwością na towar jeszcze raz tak cenny, a będący w powszechnem użyciu u społeczeństwa cywilizowanego.

(C. d. n.)

NINA.
Obrazek z życia

przez

Zofję R.

(Ciąg dalszy.)

Panie mające brać udział w konnej wyprawie, przyodziane już w amazonki oczekiwały niecierpliwie chwili wyjazdu, mężczyźni także pozmieniali fraki na różnego rodzaju wygodniejsze a estetyczniejsze i stosowniejsze ubranie do konia. Konie posiodłane przyprowadzono już przed ganek, gdy Nina wyszła w gładkiej, czarnej amazonce, której za całą ozdobę służył pąsowy szalik, związany pod stojącym białym kołnierzykiem na pojedynczy węzeł.

Wszystkich oczy zwróciły się na nią, gdyż jakkolwiek była piękną w koronkach i drogich kamieniach, w tej długiej, powłóczystej, gładkiej sukni tak była uroczą, iż mimowolnie każdy od-

dał jej hołd należny i w myśli mianował królową zebrania.

Wszedłszy spojrzała po stojących w ganku, szukała oczyma męża, ale go nie było; ale Juljusz przystąpił.

— Konstanty kazał pani powiedzieć, iż nie może jej towarzyszyć konno, gdyż gra preferansa przy stoliku starego księcia, i bez niegrzeczności nie może partji przerwać, mnie polecił czuwać nad panią.

Bez wiedzy i mimowoli przy ostatnich słowach zniżył głos. Jej mocno serce biło...

— Niech pan poprosi na chwilę Konstantego. — Juljusz skłonił się i wyszedł.

— A tu vu chére Zenobie, jak ich ciągnie do siebie, uważałaś, mówił coś do niej, a zaręczam że najbliższy sąsiad nie słyszał co. O tak, w takich razach najobojętniejsze rzeczy mówią po cichu.

I westchnęła pani Hortenzja na myśl, że dla niej minęła już pora cichych rozmów, choć wcale nie byłaby od tego, gdyby znalazła kandydata, lecz traciła nadzieję... trzeci rok panowało już bezkrólewie.

Konstanty pokazał się we drzwiach od salonu, Nina podeszła do niego.

— Nie możesz jechać z nami? proszącym głosem zapytała.

— Nie mogę moja Nino, gram z księciem, partji przerywać w żaden sposób nie wypada. Z całego towarzystwa zostaje on jeden, gdyż cierpi na reumatyzm w nogach, a powrót nastąpi zapewne wieczorem, to by dla staruszka było zbyt nużące.

— Czyż nie mógł kto inny pozostać z nim? z nieukontentowaniem zapytała Nina.

— Nikt nie miał chęci, i gospodarz był w niemałym ambarasie z tego powodu, zaproponowałem mu więc że zostanę, także zostaje brat Ludwika.

— Jedź z żoną Konstanty, a ja cię zastąpię przy księciu.

— Ale nie mój Julku, tego nie zrobię, ty na tym spacerze zabawisz się doskonale, tyle pięknych panien, jakżebym miał serce zasadzać cię z głuchym staruszkiem do kart.

Juljuszowi na wzmiankę o „pięknych pannach“ dziwny wyraz przebiegł po twarzy i lekko pogarda osiadła na ustach. On dziś już prócz Niny nie widział nikogo, nikt go nie obchodził.

— Nie opieraj się Nino przy tem, żebym ja jechał z tobą, gdyż zepsujesz Julkowi zabawę. Podaj jej rękę i pomóż wsiąść na konia — zwracając się do Juljusza stanowczo powiedział Konstanty.

Nina zeszła ze wschodów, Juljusz potrzymał jej strzemię, ona oparła się lekko na jego ramieniu, i usiadła na siodle.

Konstanty zwrócił się jeszcze raz do Juljusza.

— Proszę cię Julku uważaj na moją żonę, ona zbyt śmiało jeździ na koniu.

Słowa te dość głośno powiedziane, całe towarzystwo słyszeć je mogło.

Juljusz wskoczył na wskazanego sobie przez gospodarza konia, ujął lejce wprawną ręką, zwrócił go, i stanął obok Niny.

Wyprawa ruszyła z dziedzińca. Konni, jedni jechali przy powozach, drudzy potworzywszy pary lub trójki z amazonkami, pozostali trochę w tyle. Juljusz i Nina w towarzystwie gospodarza domu, który za ofiarę Konstantego czuł się obowiązany, towarzyszyć jego żonie, byli zamykającymi odwrot. Nina była bardzo wdzięczną panu Ludwikowi.

Pierwej, nigdy nie brakło jej wątku do rozmowy z Juljuszem, była z natury mowna, żywa i dowcipna, on wykształcony i miły w opowiadaniu, nieraz godziny całe spędzali we dwoje, bez utrudzenia z żadnej strony. Dziś każde sam na sam było męczarnią. Obojętnej rozmowy prowadzić nie mogli, a czyż mogli mówić o tem co pochłaniało każdą ich myśl, całą ich duszę? Wdzięczną więc była Nina Ludwikowi że przyłączył się do nich.

Bardzo wesoło, wśród gwaru, śmiechu, wyścigów improwizowanych, przybyła cała wyprawa na oznaczone miejsce. Konie i powozy ze służbą stajenną zostały u wejścia do lasu, towarzystwo zaś całe, nie wielką przestrzeń, która dzieliła dolinkę od drogi, przeszło piechotą; Juljusz i Ludwik pospieszyli podać rękę Ninie, ona przyjęła rękę Ludwika. Juljuszowi podziękowała spojrzeniem; nie chciała niem prócz grzeczności nic więcej wyrazić, a jakżeż nie obrachowała siły jego; jak nie umiała powstrzymać, jak nie mogła zgasić tego w czarnych oczach, czego usta jej nigdy wymówić nie miały. Gdyby pani Hortenzja pochwyciła była ten promień, który z jej oczu padł na duszę smutnego młodzieńca, byłaby miała ważny komentarz do domysłów swoich.

Smutnego młodzieńca! Tak, Juljusz był smutnym, i nieraz po przepędzeniu kilku godzin w towarzystwie Niny, przekonawszy się tak jak w tej chwili z jej oczu, że jest kochanym, powracał do siebie, rzucał się na sofę, a opierając głowę o miękie poduszki, z ust mu się wyrywało z rodzajem namiętnego pragnienia:

— Ach gdyby teraz umrzeć! — Trzeba być szlachetnym jak on był, aby kochając i będąc kochanym, mówić sobie „ach! gdyby umrzeć.“ Razem z miłością dla Niny, osiadł głęboki smutek na jego duszy.

Wszedłszy na dolinę uderzył wszystkich widok pysznie i gustownie zastawionych stołów; zdawało się iż wszystko już było gotowe do przyjęcia i uczęstowania gości; gospodarstwo jednak zaproponowali przechadzkę w głąb lasu, gdzie z wyniosłego pagórka odsłonił się przecudowny widok po drugiej stronie lasu na rozliczne wsie, wzgórza i wijącą się pomiędzy niemi srebrną wstęgę rzeki.

Przypatrywanie się widokowi, powrót, suty i wesoły podwieczorek, przy którym panowie zajęli się obsługiwaniem dam, tak że służba galonowa stała prawie na uboczu, zabrało dość dużo czasu, tak że gdy wstano od stołu, zmrok już szarzał w pięknej majestatycznej dębinie.

I w tej chwili, gdy ktoś pierwszy zrobił tę uwagę, na całej widocznej przestrzeni lasu, w mgnieniu oka buchnęły ognie, oświecające fantastycznie niebotyczne dęby. Piękny to był i niespodziewany widok, którego admiracja zabrała jeszcze sporo czasu, a gdy zbierano się do odwrotu, poszarzało już zupełnie. Nie było przecież niebezpieczeństwa, gdyż droga była równa, kopana i obsadzona po największej części drzewami.

Pary i trójki tak się widać przy wyjeździe z domu formowały, jak było ogólnem życzeniem, gdyż i z powrotem szyk w niczem nie był nadwerężony.

Nina oglądała się za Ludwikiem, nigdzie go nie dojrzała.

— Gdzie nasz towarzysz? zapytała Juljusza stojącego na koniu obok niej.

— Kazał panią przeprosić, ale musiał pospieszyć naprzód do domu.

— Jedźmy—niespokojnie powiedziała Nina, uderzając delikatnie Ledy, która nieprzywykła do tak nawet delikatnego skarcenia, pomknęła z miejsca. Juljusz pospieszył i zrównał się z nią. Jechali noga za nogą. Reszta towarzystwa, jedni postępowali już za niemi, drudzy dosiadali dopiero swoje konie. Jedna z pań opatrzyła się że zgubiła drogocenną bransoletkę... Pamiątała że wracając ze wzgórza miała ją jeszcze na ręku.

Kilka panów wróciło, aby znaleść zgubę, a całe towarzystwo zatrzymało się, oczekując skutku.

Juljusz i Nina nie wiedząc o tej zwłoce i sądząc że reszta towarzystwa dopędzi ich wkrótce, jechali powoli w milczeniu, które im dłużej trwało, tem dla obojga stawało się drażliwsze. Juljusz silił się na wyszukanie jakiegoś przedmiotu do rozmowy. Księżyc wznoszący się po nad lasem, oświecił rysujące się na horyzoncie góry, to mu przypominało Szwajcarję, gdzie lat kilka zostawał na uniwersytecie, począł więc opowiadać wycieczki w góry tamtejsze w czasie wakacji, i stąd już wysuwał jeden wątek za drugim, by nie dopuścić zdradliwego milczenia. Biedna Nina czując się chwilami tak słabą, iż lękała się sama o siebie, uczuła dla Juljusza rodzaj uwielbienia, iż tak potrafił postawić pomiędzy nich obojętną rozmowę, jakby trzeciego towarzysza. O! ileż to razy przypominała własne słowa, któremi, sądząc się silniejszą, czy inaczej, hojniej od Boga obdarzoną jak inne kobiety, wyzywała nieznane potęgi! Nieznanej, a tak strasznej, gdy iść nie może w zgodzie z obowiązkami i sumieniem! Jechała teraz obok tego, który stał się jej droższym nad życie, cicha i pokorna w duchu, czując się najsłabszą ze słabych!

On opowiadając, Nina zasłuchana i zatopiona we własnych myślach, nie zwrócili uwagi, że konie przyspieszyły kroku, że szły nie już noga za nogą, ale wyciągniętym stępem i w ten sposób oddalili się bardzo od towarzystwa, które jeszcze z zapalonemi łuczywami szukało w lesie zgubionego klejnotu. Juljusz puścił wolno lejce swojemu koniowi, i zapomniał prawie, że oddał się w ten sposób w moc nieznanemu sobie, bezrozumnemu stworzeniu. Po niebie przesuwały się chmurki zaciemniając od czasu do czasu blask księżyca. W chwili gdy jedna z większych przykryła go jak szarą ze srebrnemi ząbkami oponą, czatujący na nocną zdobycz kot wyskoczył z rowu przydrożnego i pędem wpadł pod nogi koniom. Szarpnęły się, Ledy stanęła jak wryta, a koń Juljusza spiąwszy się na tylnych nogach, skoczył tak gwałtownie w bok, że nogi, które znać miał słabe, związały się pod nim, i całym ciężarem runął na ziemię, przygniatając sobą jeźdźca. Nina krzyknęła przelękła, ale w jakąż straszną trwogę zmienił się jej przestrach, gdy koń powstawszy i parsknąwszy dziko, pomknął z kopyta, a Juljusz został nieruchomy na ziemi! Zsunęła się z siodła, i jednym rzutem była już przy nim. Klękła na ziemi i nachyliła się nad leżącym. Księżyc wyjrzał z za chmury, i rzucił srebrnemi promieniami w bladą twarz Juljusza. Nina zawołała go po imieniu, nie dał znaku życia. Czyż jest pióro zdolne opisać to, co się jej w tej chwili działo? Nie, na to słów nie ma! Nie tracąc przecież przytomności poczęła go ratować. Wołać pomocy byłoby daremnie, dokoła zalegała wieczorna cisza, nigdzie szmeru, nigdzie głosu ludzkiego, zbyt daleko oddalili się od to-

warzystwa całego, które jeszcze dotąd w pochód nie ruszyło, szukając ciągle braselety. Nina poczęła nacierać mu czoło i skronie, zaczerpnęła we własny kapelusz wody ze strumyka sączącego się rowem przydrożnym, skropiła twarz i zlewać poczęła głowę. Ruchy jej były gorączkowe, usta zaciśnięte, oczy suche, serce ściśnione, iż prawie bić przestało. Stan jej nerwowy był tak naprężony, tak nie naturalny, iż długo trwać nie mógł. Gdy już drugi raz z wodą powróciła i zlewając go, usiłowała ocucić, a widziała, że wszystkie starania daremne, gdyż Juljusz z przymkniętemi oczami leżał nieruchomy, dźwignęła głowę jego, a namiętnie tuląc ją do piersi, krzyknęła: Boże! On umiera!

W krzyku tym było tyle rozpaczy, tyle strasznej wymówki do nieba, że czy ono się zlitowało, czy krzyk ten przedarł się do duszy omdlałego, dość, że Juljusz westchnął i oczy otworzył.

Nina ujrzawszy objaw powracającego życia, straciła przytomność, to jest przytomność położenia swego, i stosunku względem Juljusza. W namiętnych słowach a namiętnym uścisku powiedziała mu to, czego przecież nigdy powiedzieć nie chciała! Wyznała, jak go kocha! Kocha po raz pierwszy w życiu — i już na wieki!...

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Kalendarz gospodarski dla kobiet na rok 1877. Ułożony staraniem redakcji „Przeglądu Tygodniowego.“ Warszawa — 1877.

Kalendarz ten, tak co do obfitości treści jak wyboru artykułów, przewyższa nawet zagraniczne tego rodzaju kalendarze. Prócz zwykłego kalendarza, znajduje się w nim dział wychowawczy, w którym rozprawy: „Wpływy wytwarzające charakter;“ „O potrzebie obznajomienia dzieci z pojęciami o zdrowiu“ i „Początkowa nauka rysunków w stosunku do wychowania“ zasługują na szczególniejszą uwagę. W dziale hygienicznym pomieszczoną została rozprawa dr. K. Dobrskiego: „Pielęgnowanie chorych kobiet.“ Dalej idzie „Gospodarstwo wiejskie“ i „Roboty kobiece.“ W dziale literackim życiorys J. Sand i ocena jej utworów, takiż życiorys Gabryeli Narcyzy Żmichowskiej i kilka wcale udałych nowelek.

— Dwie Babki. Pamiętnik Berlicza Sasa. I. Pani Kasztelanowa Trocka. II. Pani Starościna Horodelska. Warszawa — 1876.

P. Berlicz Sas w formie pamiętnikowej opowiada nam słabostki i fantazyjki pani Kasztelanowej Trockiej i pani Starościny Horodelskiej, nie ujmując wcale ich zacności. Podobne obrazki wielką przynoszą korzyść. Z nich to utworzy się w przyszłości ogólny obraz narodowego bytu, z którego historyk, filozof i poeta czerpią swoje natchnienie i pomysły.

— Początki logiki dla szkół średnich, napisał dr. Józef Kremer. Kraków, 1876.

Jest to dzieło ostatnie, nad którem zmarły Kremer pracował lat kilka i po trzykroć przerabiał. Wydanie pośmiertne, nakładem rodziny zgasłego filozofa i estetyka.

— Słowianie pod tureckiem i austrjackiem panowaniem. Zarysy i wspomnienia z podróży, przez Cyryla. Tłumaczenie z francuskiego. W Poznaniu — 1877 r.

— K. Waliszewski. Wiadomość o kasach zaopatrzenia dla urzędników, oficjalistów, sług i robotników. Warszawa — 1876.

— Niebieskie Migdały. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. Tom I, II, III. Warszawa — 1876.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

W naszej sprawie.

Lwów w grudniu 1876.

Kwestja równouprawnienia kobiet tyle razy była poruszaną i tak wiele o tem już napisano, że zdaje się prawie niepodobnem coś więcej do niej dodać; a jednak rozglądając się w około, nastręcza się pytanie, czy kobieta dojrzała już do tego prawa, czy może być równouprawnioną, czy społeczeństwo nasze może przyjąć taką nowość, czy może ona być przyznaną obecnie? Myśl równouprawnienia bywa przestrachem dla niejednego umysłu męskiego; mąż i ojciec zdają się być zagrożeni w swoich prawach, w swojej powadze i władzy, i ze wstrętem odpychają nowatorstwo, którego zbadać nie chcą i o którem nawet słuchać nie lubią; dla nich ten wyraz „równouprawnienie“ jest strasznym; nie chcą zrozumieć jego znaczenia prawdziwego, ani zastanowić się nad obecnym stanem rzeczy, a jednak po bliższem rozpatrzeniu się, nie raz pod własną strzechą dojrzeliby to równouprawnienie, które sami wprowadzili, i które błogie wydało skutki.

Bo czemże jest każda na pozór nowość wprowadzona w życie nasze, jeżeli nie potrzebą chwili, wywołaną urabianiem się społeczeństw? Jakie są pojęcia o małżeństwie w obecnych czasach? Nie chcę tu mówić o ekscentrycznych wyobrażeniach i zdaniach, o kobietach utyskujących na swoje zawisłe położenie i obwiniających mężów wszystkich zawsze i wszędzie, jak niemniej i innych mężczyzn, w ten sam sposób traktujących kobiety; ale mówić tu chcę o tych, których szczęściem naszem coraz więcej liczymy, które pojmują małżeństwo jako związek mający zapewnić szczęście dwojga ludzi, w który ani jedno ani drugie nie wstępuje dla panowania, dla nasycenia swej próżności lub rachuby. Tam mąż nie troszczy się o równouprawnienie; on sam dobierając sobie małżonkę, szuka osoby, któraby była w stanie zrozumieć go, z którą dzieląc troski i radości życia, mógłby pomówić o każdej sprawie zajmującej jego umysł, lub mającej wpływ na byt ich wspólny, lub postępowanie. On sam daje żonie prawo równe swemu, czyni ją wspólniczką swego życia, swego losu, swych zachodów i myśli.

Jakkolwiek często dają się słyszeć ubolewania nad związkami źle dobranemi, myślę jednak, że nie jedno można znaleźć stadło, (każdy zna choćby tylko jedno takie małżeństwo), gdzie bez umowy, bez intercyzy i notarjusza, małżonkowie są sobie równi, nie wywołując pomimo to ani naruszenia powagi męskiej, ani łagodnej uległości ze strony żony, gdy ta okaże się potrzebną. Wzajemne ustępstwo, wspólne porozumienie nad tem co obchodzić ich może, cechują takie małżeństwa, i nie jeden mąż, który uszy zatyka na samą wzmiankę o równouprawnieniu, w życiu domowem sam dawno je wprowadziwszy nie domyśla się nawet, że jest wraz z innymi najsilniejszym krzewicielem nowej jak sądzi zasady, którą praktykował nie dawszy jej nazwy; na co ogół patrząc, przyszedł do przekonania, że w małżeństwach, gdzie ona rzeczywiście istnieje, życie jest najprzykładniejsze, tam dzieci najlepiej i najstaranniej wychowywane bywają; ale potrzeba do tego wielu bardzo warunków, a jakiemi one są, starać się będę wyłożyć, raczej streścić, gdyż wszystkie pochodzą od jednego najgłówniejszego, który wszystkie w sobie koncentruje, a tem jest — wychowanie.

Równość wykształcenia, pojęcia o otaczającym nas świecie, o środku w jakim żyjemy, oto nieodzowne warunki do porozumienia się bliższego, do utrwalenia przyjaźni między małżonkami, gdy chwilowe uczucie miłości stygnąć zacznie, gdy życie ich dla wspólnej idei poświęconem zostanie. Warunek ten, powiecie, wszystkim jest znany, ale jakim sposobem dojść do niego, jak poznać się mogą tak dobrze osoby mające żyć wspólnie, kiedy narzeczeni często tak prędko stają przed ołtarzem, że nie wiele o sobie wiedzieć mogą, a choćby i dłużej się znali, taka jest różnica w wychowaniu mężczyzny a kobiety, że trudno żądać, by zgadzać się mogli w zapatrywaniach swoich i pojęciach.

Zapyta mnie kto może, czy nie głoszę za wspólnem wychowaniem obu płci na sposób amerykański?

Odpowiem na to, że choć ten system pochwalam, ale dla nas uważam go za niestosowny, nie dorośliśmy jeszcze do niego. U nas za mało jest poczucia godności osobistej, za mało szanujemy siebie i drugich, za mało dotąd mamy sumienia, aby to istnieć mogło, choć nie wątpię, że do tego dojdziemy. Pierwszym krokiem na tej drodze są ogródki dziecinne, gdzie mali chłopcy i dziewczątka ciesząc się i bawiąc wspólnie, przywykają do siebie i uważają się jakby jedna rodzina; w takiem wychowaniu stosunki są jakby braterskie, i gdyby w ten sam sposób dalsze odbywały się nauki, zdaje mi się, że moralność nic by na tem nie ucierpiała; ale powtarzam, dziś byłoby to marzeniem za wczesnem, trzeba parę pokoleń przygotować pomału do takich zmian, trzeba rozpocząć od kobiet, aby mieć matki umiejące kierować swymi synami, nakazać im własnem postępowaniem szacunek dla płci swojej.

O umysłowem kształceniu młodzieży myślą wszystkie rządy, wszędzie się o to starają, lecz oprócz umysłowego wykształcenia człowiek potrzebuje jeszcze czegoś więcej, czego tylko w domowem pierwotnem wychowaniu nabyć może: tem jest wpływ matki i rodziny, a głównie matki. Od dawna już powtarzają, że matek potrzebują nasze społeczeństwa, a jakże się o to starają? Czy drogą do ich uzyskania są wykłady, jakich po większych tylko miastach słuchają młode panny? Tak, te wykłady są dziś jedyną prawie drogą pozostawioną kobiecie do jej kształcenia; tam ona nabywa choć w niedostatecznej ilości wiadomości tak jej potrzebnych, i mogłoby to zupełnie stać się dobrem, gdyby nie przedstawiało ujemnej także strony, choć nie podobnej na teraz do uniknienia.

Wychowanie publiczne jest najlepszem tak dla dziewcząt jak i chłopców; tam wyrabiają się charaktery, tam się uczą żyć wspólnie, tam wreszcie nauki najlepiej wykładane być mogą, programy najwłaściwiej ułożone i najlepiej wykonane. Jedna największa niedogodność takiego wychowania jest, że panny, jeżeli nie są stałemi mieszkankami miasta, gdzie się mieści ów zakład naukowy, i nie mają tam własnego rodzinnego domu lub kogoś z bliższych, zmuszone są szukać odpowiedniego pomieszkania, które nie zawsze odpowiada wymaganym warunkom; w ogóle to jest niedogodnością, że są zmuszone codziennie odbywać pewną wędrówkę po mieście, która nie koniecznie dobry wpływ wywierać zwykła. Przyczyną są spotykani mężczyźni, którzy w małej liczbie posiadają tyle honoru i poczucia obowiązków społecznych, aby oprzeć się zawsze pokusie uśmiechnięcia do ładnego dziewczęcia, która zrazu może nie uważać na te oznaki galanterji, z czasem atoli się rumieni i nie raz w końcu ulegając namowie, zamieni słodki liścik, czuły uścisk rączki, i główka biedna obałamucona staje się nie raz powodem nieszczęścia całego życia. A zatem, zanim wychowanie publiczne stanie się bez zarzutu, to trzeba tak mężczyzn przygotować, aby szanowali w każdej kobiecie siostrę lub matkę, a tego dokazać może tylko macierzyńskie wychowanie; potrzeba jednak, by matka była nie tylko cnotliwą, co przecie nie jest jeszcze u nas rzadkością, lecz jeszcze tyle światłą, aby swoje dzieci umiała prowadzić, i nie wydawała się synom zbyt prostaczego umysłu; aby mogła w razie potrzeby objaśniać ich w rzeczach dotyczących ich studjów, jednem słowem, aby w każdem zdarzeniu syn znajdował w niej radę zdrową i światłą, aby mógł z całem zaufaniem szukać jej u tej pierwszej naturalnej przyjaciółki i opiekunki. Serce samo nie jest dostatecznem w stosunkach matki z dziećmi, potrzeba jeszcze światła, potrzeba wiedzy; niech dziecko na kolanach matki odbierze pierwsze nauki, niech zamiast owych frazesów nic nie mówiących, albo fałsz jakiś niosących do jego duszy, słyszy zawsze rozsądną odpowiedź, to z pewnością przywyknie czcić i szanować swoją matkę, a za nią i inne kobiety. Prawda, że też i charakter matki wielką bardzo może grać rolę, ale jakkolwiek charaktery są różne, to przecie i one kształcić się dają, a ich urobienie jest pierwszą zasadą pedagogji.

(Dok. nast.)

Literatura i sztuka.

— Dr. Ksawery Liske wydał gruntownie napisaną broszurę pt. „Der angebliche Niedergang der Universität Lemberg. Offenes Sendschreiben, an das Reichsrathmitglied Herrn D. Edward Suess,“ w której niezwalczonemi datami zbija gołosłowne twierdzenie tego zaciekłego niemieckiego ultrasa, jakoby od czasu zaprowadzenia polskich wykładów, uniwersytet nasz chylił się do upadku. Najlepszą miarą rozwoju ja-

kiego uniwersytetu jest suma literacko-naukowej działalności jego profesorów. Otóż pod tym względem wszechnica nasza daleko wyżej stoi obecnie, niż za dawnych czasów. Oprócz pp. Buhla (Niemca wykładającego jeszcze dotychczas w niemieckim języku) i Fangora, obu należących do dawnych zabytków germanizacyjnego systemu, wszyscy inni profesorowie wykazują prawdziwą wartość naukową, mając dzieła pisane nietylko po polsku, ale także w innych ogólnie w Europie rozumianych językach, jako to: niemieckim, francuskim, szwedzkim itd. Niektóre prace profesorów naszego uniwersytetu cenione są przez cały świat uczony. Frekwencja na naszym uniwersytecie od r. 1871 wzmogła się prawie w dwójnasób. Jakże wobec tych faktów p. Suess, człowiek uczony, profesor geologji na uniwersytecie wiedeńskim, mógł się ośmielić twierdzić, że uniwersytet nasz chyli się do upadku, i że zniesienie tej wszechnicy nie przyniosłoby szkody dla nauki i ludności? Jedynie partyjna zaciekłość może doprowadzić człowieka do wygłaszania takich absurdów. Uznanie należy się p. Liskemu, że w sposób tak gruntowny i bez namiętności wytłumaczył niemieckiej publiczności obałamuconej przez sprzedajną publicystykę, jakie właściwie stosunki na naszym uniwersytecie panują. Jak się dowiadujemy, sam p. Suess w liście do dr. Liskego miał się przyznać, że dotychczas był w błędzie, i że odtąd zupełnie inaczej na nasz uniwersytet zapatrywać się będzie.

— Na dochód bibljoteki słuchaczów prawa we Lwowie odbędzie się w niedzielę 17. bm. w sali hotelu Żorża przedstawienie amatorskie połączone z koncertem. Przedstawienie rozpocznie uwertura Volkmana, odegrana przez kwartet smyczkowy, poczem najlepsi amatorowie i amatorki naszego miasta odegrają dwie 1-aktowe komedyjki „Gapiątko z St. Flours“ i „Przysługa“. Koroną wieczorku będzie solo na fortepian, które odegra p. Karol Mikuli dyrektor Towarz. muz.

— Komitet obywateli zajmujący się postawieniem pomnika śp. Arturowi Grottgerowi w jednym z lwowskich kościołów, wydał odezwę, w której donosi, iż przyjął projekt p. Gadomskiego, rzeźbiarza z Krakowa: komitet wzywa zarazem kraj do składek na koszta pomnika, które wynosić będą małą stosunkowo sumę 2.000 złr. Uważamy za zbędne zachęcać czytelników naszych do jak najliczniejszego składania datków. Sam ich cel aż nadto dostatecznie przemawia za tem. Datki przesyłać należy na ręce pana Młodnickiego, ulica Sykstuska l. 33.

— Księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu, chcąc przyczynić się do wzrostu funduszu na stypendja imienia Karola Libelta, oraz pragnąc przyspieszyć wyjście następnych dwóch seryj zasłużonego tego w naszej literaturze męża, postanowiła przy Iszej serji dzieł Libelta, zawierającej w sześciu tomach „Filozofję i krytykę“ (system mównictwa, estetyka ogólna, piękno natury), zniżyć cenę ich dotychczasową z 12 na 6 talarów (18 marek). Z tych 18 marek odstępuje ona na fundusz stypendjalny 6 marek, w tej nadziei, że takie zniżenie ceny i dla celu tak szlachetnego, przyczyni się do szybkiego rozsprzedania tej cennej pracy naszego filozofa.

— Czas pisze: Jeden z dzienników lwowskich pyta: Kto kupił „Batorego“ Matejki? Możemy tyle tylko donieść, że obraz ten dostał się w ręce rodaka. Gabinet archeologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego otrzymał w darze od księgarza wiedeńskiego Ludwika Lotta wydanie z chromolitografjami „Zbiór najpiękniejszych miniatur wieków średnich“; od p. Eugenjusza Zawadzkiego zabytki ceramiczne z wykopalisk w Kroszynie nad Szczarą w Wielkopolsce; od p. Pauliny Golianowej kachle; od p. Michała Lisowskiego fotografje.

— Towarzystwo sztuk pięknych w Warszawie nabyło J. Kossaka „Z pod Sommosiera“ i Gryglewskiego „Ratusz Kazimierski“, „Mały rynek w Krakowie“ i „Wnętrze dziedzińca zamku w Wiśniczu“.

— Pan Michał Girdwojn otrzymał we Francji wielki złoty medal za swoją rozprawę pod tytułem: „Monografja pszczoły“. Jest to już czwarta nagroda pierwszorzędna, którą autor został zaszczycony, otrzymał bowiem poprzednio złote medale: w Krakowie w 1872 roku, w Wiedniu w roku 1873 i w Szawlach w roku bieżącym. Oprócz tego p. Girdwojn jest członkiem honorowym pięciu akademij i towarzystw naukowych. Obecnie, p. Girdwojn przygotował do druku nową pracę „O rybach“, której oddają wielkie pochwały osoby fachowe.

— Księgarnia pp. Altenberga i Robitschka w Warszawie wystąpiła z nową i wcale nieznaną u nas rzeczą. Zamierza ona bowiem wydawać w kopjach fotograficznych reprodukcje ze wszystkich obrazów malarzów polskich pod ogólnym tytułem: „Album fotografij“. Dotąd wyszły na widok publiczny dwie serje takich fotografij, zawierające 28 obrazów najznakomitszych naszych artystów pędzla.

— Z Bayreuth donoszą, że zaczynają tam już powoli myśleć o przygotowaniach do wystawienia w przyszłym roku słynnej Wagnerowskiej trylogji Nibelungowej. Zbiorowe próby dzieła tego mają się odbywać od 1 do 28 lipca. Pierwsze przedstawienie będzie podobno miało miejsce 29, 30, 31 lipca i 1 sierpnia; drugie od 5 do 8 sierpnia; trzecie od 12 do 15 sierpnia.

— Do liczby monografij, na brak których w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia uskarżać się nie możemy, przybywa jeszcze jedna, o której donosi „Revue Britannique“. Jest nią dzieło zawierające: Historję poczty listowej, napisaną przez p. Artura Rotschilda. Jestto już drugie wydanie dwutomowe, wzbogacone monografią historyczną o markach pocztowych, od 1840 roku aż do naszych czasów. „Revue“ chwali bardzo wspomnione dzieło i w ogóle cały sposób traktowania przedmiotu.

Lwowskie Tow. przyjaciół Sztuk pięknych.

— Walne zgromadzenie lwowskiego Tow. przyjaciół sztuk pięknych odbyło się w niedzielę 10 grudnia w wielkiej sali ratuszowej przy niezbyt licznym współudziale członków. Prezes towarzystwa Leszek hr. Borkowski zagaił posiedzenie piękną przemową, w której podniósł praktyczną doniosłość sztuk plastycznych, szerzących idee i zamiłowanie piękna w szerokich kołach daleko skuteczniej, aniżeli najświetniejsze dzieła myślicieli. Sekretarz Towarzystwa p. Dzbański odczytał protokół z zeszłorocznego walnego zgromadzenia, poczem p. Błotnicki zdał sprawę z artystycznej działalności Towarzystwa. Najważniejszym punktem tego sprawozdania było, że Towarzystwo poczyniło kroki, aby znakomity obraz Siemiradzkiego „Żywe pochodnie Nerona“ był wystawiony we Lwowie. Rokowania z artystą każą mieć nadzieję, że arcydzieło to, o którem wszystkie zagraniczne pisma z entuzjazmem się odzywają, w roku przyszłym nadejdzie do Lwowa. Ze sprawozdania radcy p. T. Kulczyckiego o funduszach Towarzystwa, wyjmujemy następujące daty: W ubiegłym roku rozprzedano 846 sztuk akcyj po 5 zł 10 ct., doliczywszy do tego dochód z tegorocznej wystawy, okaże się ogólny dochód wynoszący blizko 6.000 złr. Koszta zarządu, najem lokalu na wystawę, zakupno dzieł sztuki do losowania, datek 300 złr. na zakupno „Unji“ Matejki, wszystko to stanowiło tak znaczne wydatki, że pozostało tylko 600 złr., z których jeszcze Towarzystwo zapłaci resztującą od 300 złr. sumę na zakupno „Unji“. Jak widzimy, stan funduszów Towarzystwa nie jest świetny. P. Kulczycki zaproponował, aby Tow. udało się do Sejmu z prożbą o zapomogę. Przeciw temu wnioskowi wystąpił p. Błotnicki, utrzymując, że Towarzystwo, jeżeli jest żywotne, bez takich środków utrzymać się potrafi, zaproponował więc, aby wniosek p. Kulczyckiego odesłano do Wydziału. Zgromadzenie zgodziło się na to. Do dyrekcji wybrano ponownie: pp. Henryka Rodakowskiego i Fr. Tepę, na zastępców: pp. Edwarda Pawłowicza i Ottona Hausnera, a do komisji lustracyjnej: pp. Bogdanowicza Antoniego, Koczyndyka Dymitra, Horoszkiewicza Juljana, dra. Frieda Jana, Kopestyńskiego Apolina i Gomulińskiego Augusta. Nakoniec przystąpiono do losowania, którego rezultat był następujący: Nr. 452 „Portret olejny Bohd. Zaleskiego“, Penthera Daniela — wartość 120 złr., wygrał hr. Agenor Gołuchowski; nr. 725 „Uczta jenerałów Wallensteina“, sztych — wygrał dr. Uszyński; nr. 609 „Kazanie Skargi“, sztych — wygrał A. W. Grot; nr. 1163 „Powrót“ — druk kolorowy wygrał Józef Janowski; nr. 471 „Medaljon Stanisława Kubarego“, Karola Klossa — wartość 30 guld., wygrała Gorzycka Walerja; nr. 175 „Kazanie Skargi“, sztych — wygrał dr. Aleks. Jasiński; nr. 56 „Lew“ z terracotty, Tadeusza Barącza — wartość 100 guld. wygrał Zacharjasiewicz Juljan; nr. 64 „Błogosławieństwo babuni“, sztych, wygrał Stroka Aleksander; nr. 1 „Rozrywka niedzielna“, obraz olejny Mroczkowskiego Aleksandra wartość 250 złr., wygrał Ziffer M; nr. 40 „Portret Ludwiki Tassis“, van Dycka, sztych, wygrał Łyskowski Serwil; nr. 980 „Widok Wieczorny“, sztych wygrał, Miłaszewski Erazm; nr. 140 „Opowiadanie myśliwca“, sztych, wygrał Gąsiorowski Ferdynand; nr. 400 „Szewczyk grający w karty“, sztych wygrał ks. Osadca Dominik; Nr. 521 „Powrót“ druk kolorowy, wygrał Janko Karol; nr. 857 „Marko Bozaris“, naczelnik powstańców greckich, akwarela Fr. Tepy, wartość 100 zł., wygrał B. E.; nr. 306 „Cerkiewka w Kruszwicy“, olejny obraz Henryka Grabińskiego, wartość 150 złr., wygrał Goltenthal Ludwik; nr. 501 „Bośniak“, akwarela, szkic śp. M. Kaplińskiego, wartość 50 złr., wygrał Kęszycki Marcin; nr. 800 „Popiersie żyda“, studjum olejne Konstantego Dzbańskiego, wartość 150 złr., wygrał Wisłocki Józef; nr. 253 „Panna młoda“, akwalera Młodnickiego Karola, wartość 50 złr., wygrał Nirenstein Maurycy; nr. 209 „Popiersie rycerza“, obraz olejny T. Kopystyńskiego, wartość 40 złr., wygrał Riessler; nr. 1097 „Szwoleżer Poniński“, epizod z kampanji napoleońskiej w Hiszpanji, akwalera Juljusza Kossaka, wartość 200 złr. wygrał Zubrzycki Justyn; nr. 442 „Uczta jenerałów Wallensteina“, sztych, wygrał Czerny Kazimierz w Bukareszcie; nr. 554 „Zbiór rycin“, wygrał Szczęsny hr. Koziebrodzki; nr. 918 „Chłopak z okolicy Krakowa“, studjum olejne Malczewskiego J., wartość 160 złr., wygrał Abrachamowicz Dawid.

Wykopaliska.

— Dr. Schlieman jest pewny, że na Akropoli w Mykene odkryto grób Agamemnona. Dnia 2 bm. telegrafował on do króla greckiego: „W tym samym grobie, w którym znalazłem dawniejsze skarby, znalazłem wczoraj zwłoki mężczyzny, mające na twarzy ciężką złotą maskę, i na piersiach zbroję złotą. Po obu bokach tej postaci wisiały miecze i miecz mały, których rękojeście są złotem pokryte. Z pochew które rdza zjadła, zostało tylko bardzo wiele złotych guzów z ozdobami. Prócz tego znalazłem złote narzędzie chirurgiczne i złoty pas, na którym broń wisiała. Czaszka ma jeszcze 32 zębów. Znalazłem także czworograniaste drewienka z płaskorzeźbami, przedstawiającemi figury lwów i psów, złote naczynie i sześć żelaznych kociołków. W ostatnim grobowcu leżały trzy trupy, z których jeden nie miał ozdób. Zdaje mi się że zwłoki pierwsze, są zwłokami Agamemnona (!) Skarby przezemnie odkryte same wystarczają, aby niemi zapełnić muzeum, które będzie najświetniejszem na ziemi. Miljony cudzoziemców będą w przyszłych stuleciach odwidzały to muzeum. Ponieważ robię wszystko z zamiłowania do nauki, przeto nie mam najmniejszej pretensji do tych skarbów, i Grecji wszystko oddaję“.

— Na Cyprze znaleziono temi czasy skarb, ukryty przed 2.000 lat. Przy badaniu uwagi godnych ruin Kournimu na południowem wybrzeżu wyspy, znalazł generał Cesnola cztery grobowce, a we wnętrzu ich wielką ilość, tak pod względem sztuki jak wartości materjału, nader kosztownych przedmiotów. W pierwszym grobowcu znaleziono 550 pierścieni, naszyjników i kamieni, w drugim 280 przedmiotów ze srebra, w trzecim naczynia z gliny i alabastru, w czwartym rozmaite sprzęty z bronzu i miedzi. Same złoto znalezione oceniają na 300.000 franków. Muzeum brytyjskie zamierzało nabyć cały ten skarb cenny, atoli zostało uprzedzone przez nowojorkskie muzeum miejskie, które zakupiło wszystkie te starożytności za znaczną sumę 66.000 dolarów.

Podróże.

— Jeden z angielskich dzienników podaje wiadomość, z której wnioskować można o losie nieszczęśliwych towarzyszów Franklina. Kapitan Salmon ze statku „Jean Mayen“ z Peterhead podaje między innemi, że w zatoce Cumberland rozmawiał z pewnym Eskimosem, nazwiskiem Tysson, który mu opowiedział, że przed wielu laty plemię mieszkające daleko na północ zamordowało 6 ludzi, między nimi jednego białego, niejakiego Crosiera, za to. że nie chcieli wydać im swej broni i amunicji. Jak wiadomo Crosier był pierwszym porucznikiem okrętu „Ahoy“ z wyprawy Franklina. Ów Eskimos zapewniał w końcu Salmona, że naczelnik tego plemienia żyje dotychczas.

ROZMAITOŚCI.

— Południowa Ameryka, a szczególnie brazylijska prowincja Rio Grande de Sul, była nawidzona minionej wiosny straszną plagą, dającą się porównać chyba z jedną z siedmiu egipskich. Przeróżne gatunki miejscowych i wędrownych szczurów zalały formalnie kraj cały i sprawiły olbrzymie spustoszenia. Podług obliczeń pewnego osadnika z niemieckiej kolonji w Sara Lourenço, miano szkody w tej jednej tylko miejscowości w zbiorach kukurydzy na więcej jak 20 — 25.000 hektolitrów, a w innych okolicach jeszcze większe. Wprawdzie koloniści ci byli ostrzegani przez Brazylijczyków, którzy z wszelką pewnością na podstawie jakichś im tylko wiadomych oznak, przepowiadali przybycie i opanowanie pól przez szczurów; atoli nikt nie dawał wiary tym wróżbom, aż się zapóźno przekonano o ich prawdziwości, a wtedy już niepodobna było położyć tamę rozbójniczemu napadowi tych małych łupieżców. Głębokie rowy, któremi na prędce otoczono szpichlerze, wnet okazały się niedostatecznym środkiem ochronnym, bo choć pierwszej nocy złapało się w nich kilkaset szczurów, to te właśnie z dziwną jakąś zmyślnością służyły reszcie w ten sposób, że zbiwszy się gromadnie w jednym rogu, służyły za formalny pomost żywy, po którym tamte mogły wygodnie przejść do magazynów. Nader ciekawem i rzadkiem widowiskiem była wędrówka szczurów przy świetle księżyca, gdy przechodziły z jednego pustego już łanu na drugi. Gdy pola z kukurydzą zostały przez łupieżców z ziarna uprzątnięte, przyszła kolej na kartofle. Nawet olbrzymie dynie choć twarde jeszcze, nie były pominięte przez żarłoczne stworzenia, ale wydrążane do czysta, że zostały tylko łupiny zewnętrzne. Również owies i koniczyna uległa spustoszeniu zupełnemu. Atoli największą grozą przejmuje walka, którą ludzie zmuszeni byli prowadzić z tymi intruzami wśród mieszkań własnych. Nawet najsilniej budowane domy nie oparły się napadowi. W przeciągu jednego dnia ubić do stu sztuk szczurów było tam rzeczą w każdym domu zupełnie powszednią, a psy i koty formalnie brodziły w krwi swoich wrogów śmiertelnych. Z wyjątkiem przedmiotów kruszcowych i szklannych, wszystko zresztą nosiło na sobie ślady mniejszego lub większego zniszczenia. Co więcej, nawet żyjące zwierzęta domowe, jak krowy i nierogacizna w chlewach, były przez żarłoczne gromady napadane, i formalnie żywcem ogryzane z mięsa.

— Przed kilką tygodniami przybyło z Wiednia do Berlina młode małżeństwo w zamiarze — jak oznajmiały ich ogłoszenia w dziennikach — osiedlenia się tam i kupna odpowiedniej dla siebie realności. Łatwo odgadnąć, że w krótkim czasie zostali obsypani gradem ofert, przyczem zjawiali się u nich od czasu do czasu ludzie podejrzanej miny, którzy sądząc przybyłych, z pozoru ludzi dobrodusznych, za łatwowiernych bogaczów, obiecywali sobie dobrze oskubać złotych ptaszków. Oczywiście, że tak zwani chevaliers d'industrie postanowili skorzystać należycie z nadarzonej sposobności, przyczem spłatano im figla, który był lepszą dla nich karą niżeli kilka miesięcy kozy. Dwaj z tych panów, odznaczający się sympatyczną i elegancką powierzchownością, mieli to szczęście podobać się młodej parze i zyskać sobie jej zaufanie. Wiedeńczyk dawał im po kilkakroć przeróżne zlecenia i sprawunki, a zawsze wywiązywali się z nich skrupulatnie i sumiennie, gdyż liczyli na to, że w końcu uda się im dostać w ręce znaczniejszą jaką sumę, poczem oczywiście byliby czmychnęli z nią w najlepsze. Taka sposobność nadeszła niebawem. Pewnego dnia dwaj nasi usłużni panowie, przyszedłszy do Wiedeńczyków, zastali ich zatrudnionych opieczętowywaniem sporego listu. Pozornie bez najmniejszego zajęcia zapytali gospodarza, ile też florenów posela w tej kopercie, na co otrzymali najobojętniejszą w świecie odpowiedź: „Et, bagatelka, posełam tylko 30.000 fl. w austr. wal." Usłyszawszy to panowie nasi ofiarowali się, że zaniosą list na pocztę. Usłużność ich przyjęto z wdzięcznością, lecz gdy się oddalali, nadmienił Wiedeńczyk z pewnem niedowierzaniem, by też rychło przynieśli mu recepis pocztowy. Niedowierzanie to należało natychmiast usunąć, tem bardziej, gdy wciąż jeszcze zatrzymywał ich z odejściem. Na ten cel obydwaj dobyli swoje pugilaresy, które zawierały „nader ważne papiery familijne" i trochę pieniędzy, i wręczyli je Wiedeńczykowi. Ten popatrzył zaraz na owe trochę pieniędzy i znalazł wprawdzie tylko nieco więcej jak 1500 marek, atoli największą rękojmię stanowiły owe „ważne papiery." Zaledwie potem oszuści znaleźli się na ulicy, wzięli dorożkę i dalej w drogę z bogatym łupem; równocześnie jednak ulotniło się i dobroduszne stadło wiedeńskie. Tamci zatrzymali sobie 30.000 fl. składających się, jak się później przekonali, z makulatury, a ci wzięli z sobą snać na pamiątkę, tę trochę pieniędzy i „ważne papiery familijne." W mieszkaniu zostawili kartkę z temi tak dobrodusznie brzmiącemi słowy: „Złe czasy nastały, więc i przyjaciele muszą się oszukiwać wzajemnie."

— W zoologicznym ogrodzie w Kolonji miało miejsce przed dwoma miesiącami jedyne w swoim rodzaju widowisko, za które pierwszy lepszy imperator rzymski byłby pewnie kilka kroć sto tysięcy sesterc ofiarował. Przed pięcią lat zwierzyniec koloński dostał dwa białe niedźwiadki, które pomimo stosunkowo dla nich szczupłej klatki rozwinęły się szybko i rozrosły potężnie. Młodzi mieszkańcy północnych lodów żyli z sobą zawsze w przykładnej zgodzie, aż na kilka dni przed katastrofą wybuchł między niemi jakiś spór mały. Słabsza samica uciekła na skałę znajdującą się za bassenem, i znalazła tam przed gniewem małżonka schronienie bezpieczne, gdyż ten większy od niej i bardziej ociężały, nie mógł tam dostać się żadną miarą. Prawdopodobnie instynkt mówił jej, że pan mąż niekoniecznie przyjazne żywi w obec niej zamiary, gdyż przez kilka dni nie odważyła się porzucić bezpiecznej twierdzy, aż na koniec nieubłagany głód zmusił ją do tego. Samiec zkorzystał ze sposobności, i rzucił się na nią z szaloną wściekłością. Wnet zawrzała między stadłem sroga walka. Cały personal zwierzyńca, zgromadziwszy się rychło koło klatki, nie zdołał rozdzielić zażartych zapaśników. Drągami dwadzieścia stóp długiemi a zaopatrzonemi na końcu żelaznem okuciem, usiłowano odpędzić rozwścieczonego samca, który wnet zwalił samicę na ziemię i pastwił się nad osłabłą już w sposób więcej jak okrutny. Atoli nic nie pomogło, zapamiętały zwierz, choć sypały się nań dotkliwe razy, ani oglądnął się nawet na bijących. Niebawem usłyszano chrzęst kości w głowie biednej samicy. Wszyscy widzowie byli pewni, że walka już się teraz zakończy, gdy w tem nad pojęcie wszelkie roztropny niedźwiedź wpadł na pomysł prawdziwie szatański, by tem pewniej i prędzej zakończyć z przeciwnikiem. Mianowicie powlókł wycieńczoną i bezwładną już samicę do basenu, zanurzył ją w wodzie, i trzymał w niej tak długo, aż zaprzestała okazywać jaki taki znak życia. Wtedy wyciągnął swoją ofiarę z wody, i choć pewnie ważyła z pięć centnarów, wlókł ją dłuższy czas naokoło klatki. Gdy się w końcu tem umęczył, chciał widocznie nieżywą małżonkę stracić z oczu, gdyż powlókł ją do pobocznej miejscowej klatki; to przedsięwzięcie jednak się mu nie udało, gdyż zaledwie się tam znalazł i obrócił, drzwi od klatki zapadły się i oddzieliły go od trupa ofiary. Teraz dopiero można było zabrać nieżywą samicę z klatki i zanieść ją do izby obdukcyjnej. Gdy zdjęto z niej krwią obficie zbroczoną i w kilku miejscach podziurawioną skórę, przekonano się ze zdumieniem, w jak straszną broń natura uposażyła te potwory północne. Dolne szczęki i nosowa kość nieszczęsnej niedźwiedzicy, były zupełnie rozmiażdżone, a na czaszce było kilka otworów objętości palca ręki ludzkiej, wydrążonych górnemi kłami silnego zwierza. Cała szyja była poszarpaną a resztę ciała pokrywało więcej jak sto ran głębokich. Uwagi godną jest ta okoliczność, że podczas walki żaden z zapaśników nie wydał z siebie jakiegolwiek ryku, i że gdy wszystkie mięsożerne zwierzęta jadły ochoczo mięso z niedźwiedzicy, niedźwiedzie pogardziły niem stanowczo.

— Z Brukselli donoszą o następującym wypadku, dowodzącym ogromu poświęcenia i zaparcia w prostym wyrobniku: Pewien dzielny i uczciwy robotnik znalazłszy się — pisze sprawozdawca — niedawno temu w nader krytycznem położeniu, dał wymowny dowód olbrzymiego heroizmu, posuwając do ostateczności zaparcie własne i poczucie obowiązku. Podczas gdy towarzysz stał na jego barkach i zatrudniony był przytwierdzaniem konduktora u szczytu wieży kościelnej w mieście Ville-sur-Ourle, padło nań kilka kropel roztopionego ołowiu. Sytuacja była groźna; najmniejsze poruszenie ciała byłoby drugiego robotnika życia pozbawiło, gdyż ten utraciwszy skutkiem tego równowagę, byłby runął na dół w olbrzymią głębię. Ale dzielny ten człowiek zacisnął zęby i bez najmniejszego poruszenia zniósł najstraszniejsze cierpienia. Prawdziwie nadludzkiego wysilenia trzeba mu było użyć, i dreszcz przerażenia przejmuje na samo wspomnienie tych tortur, które on musiał wytrzymać spokojnie. Ten dowód odwagi i silnego ducha, nie spowodowanej ani nadzieją sławy, zaszczytów lub w ogóle jakiejkolwiek nagrody, jest wzniosły i zasługuje na chwalebną wzmiankę, i pomieszczenie go w rzędzie pamiętnych i wielkich czynów. Bohater ów szlachetny zwie się Carris, i jest wyrobnikiem dziennym, pracującym zwykle przy pobijaniu dachów dachówkami. Ponieważ tak bolesne rany, jako też owo nadludzkie wysilenie, zwaliło, obarczonego przytem dość liczną rodziną, na kilkotygodniowe łoże niemocy, przeto w Belgji i Anglji otworzono po dziennikach subskrypcję na korzyść dzielnego człowieka.

— Młodziutki władca Chin, obecnie w szóstym roku życia, bywa surowiej wychowywany, niżeli to się dziać zwykło w obec tak dostojnych dziecieków. W gabinecie młodego księcia znajduje się nawet trzcina bambusowa, której przeznaczeniem jest, by z pomocą niej, pełnego nadziei przyszłego władcę niebieskiego państwa odzwyczajać od wielu niewłaściwych nawyczek, i zniewalać go do większej pilności w strzelaniu z łuku, w jeździe konnej a szczególnie w uczeniu się sztuki pisania i literatury Mandszu. Dodać należy, że instrument wspomniany bywa używany dość często, atoli jak się domyśleć łatwo, nie dla uświęconego grzbietu młodego cesarza, ale dla jednego z jego wiernych poddanych. Ten nader ważny i z wielką odpowiedzialnością połączony urząd nadwornego kozła ofiarnego, piastuje jakiś chłopak ze znakomitej rodziny, rówieśnik młodego księcia, i nosi zaszczytny tytuł „Haha Chutze." Ilekroć dostojny pauper zawini, mały Haha-Chutze dostaje zań cięgi, gdyż sprawiedliwość musi być zachowaną nawet w obec cesarza! U Chińczyków teorja ta odgrywa jak wiadomo wielką rolę, choć w praktyce po większej części dzieje się, jak w wyżej opisanym wypadku. Poddani opowiadają sobie z dumą, że szlachetny książę znosi zawsze z heroizmem i obojętnością naznaczoną mu karę, wypłacaną chłostami na grzbiecie jego zastępcy. Co dotyczy małego Haha-Chutze, ten ma z dnia na dzień grzbiet siny z silnych razów nauczyciela.

— Córka paryskiego kupca p. B., dziewiętnastoletnia piękna panienka, szła niedawno przez ulicę Rivoli, i nagle upadła na trotuar nie wydawszy najmniejszego jęku lub okrzyku boleści. Wszelka pomoc udzielona jej na razie celem przywołania do życia, okazała się bezskuteczną i musiano pozornie nieżywą zanieść do domu rodzicielskiego. Przywołany lekarz robił wszystko, by obudzić życie w zdrętwiałem ciele, atoli wysilenia były bezowocne. Gdy zdjęto z niej wierzchnią suknię, ukazał się skórzany gorset, który opasywał ciało tak silnie, że krępowane przezeń funkcje organizmu sprowadziły śmierć gwałtowną. Sztuka lekarza była wobec tego bezsilną, i oto moda zabiła dziewczynę w kwiecie wieku.

Od Redakcji.

W. M. w Kołomyi. Prenumerata Pańska kończy się z ostatnim Grudnia rb.

X. Y. Z. w **Krakowie.** Wiersz przysłany drukowanym nie będzie.

Upraszamy o rychłe odnowienie przedpłaty na kwartał od 1go Stycznia 1877, ponieważ numer dzisiejszy jest przedostatnim w bieżącym kwartale.

Treść Nr. 16.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).